

● PIŁSUDSKI A SEJMOKRACJA ● „TIME” O PIERIESTROJCE ●
PARTYZANT OD „SZARUGI” ● BYŁEM SPEKULANTEM ● CZY WOLNE
CENY? ● CZY PASSENT MA RACJĘ? ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 11 - 17 V 1989 R.

NR 17

CENA 70 ŻŁ

PANEL „RELACJI”

ZAMACH MAJOWY: KONIEC DEMOKRACJI CZY PRÓBA RATOWANIA PAŃSTWA ?



Dziwnym zrzędzeniem losu Józef Piłsudski zmarł 12 maja, w dziewiątą rocznicę zamachu stanu... Na zdjęciu trumna ze zwłokami Marszałka w drodze do krypty św. Leonarda na Wawelu.

Reprodukował: Waldemar Stępień

12 MAJA 1926 roku oddziały wierne marszałkowi Piłsudskiemu rozpoczęły marsz na Warszawę. „Samotnik z Sulejówka” podjął próbę powrotu do życia politycznego i do władzy. Próba ta powiodła się. Upadł rząd Witosa, a prezydent Wojciechowski podał się do dymisji. Władza przeszła w ręce piłsudczyków. Przewrót majowy stanowi wyraźną cezurę politycznych dziejów II Rzeczypospolitej. Budzi też po dziś dzień emocje historyków i publicystów historycznych, przywołuje przeciwstawne oceny jego skutków oraz dzisiejszej percepcji wydarzeń sprzed 63 lat w Warszawie.

O genezie, implikacjach i współczesnych odniesieniach zamachu majowego dyskutowali w redakcji „Relacji” historycy: dr **EMIL HOROCH**, mgr **WALDEMAR KOZYRA**, dr **ZBIGNIEW ZAPOROWSKI** — z Zakładu Historii Najnowszej UMCS oraz dr **JOZEF DUDA** z Zakładu Historii Gospodarczej UMCS. Redakcję reprezentował Leszek Wiśniewski.

„RELACJE”: — Sądzę, że alternatywa sformułowana w tytułowym pytaniu jest dość wyraźna. Proponuję cofnąć się do maja 1926 roku.

EMIL HOROCH: — Myślę, że do okresu znacznie wcześniejszego. Do momentu usunięcia się Piłsudskiego w cień życia politycznego i do osobowości tego człowieka. Sformułuję od razu tezę: Piłsudski był człowiekiem żądnym władzy. Ta cecha charakteru przewija się jak nitka przez całe jego życie. Był żądnym władzy, przywództwa, realnego wpływu na bieg wydarzeń politycznych. Przypomnę jego okres świetności, kiedy to w Galicji zaczyna kształtować własny obóz polityczny. Stał się w nim postacią dominującą i wówczas zaczyna się ujawniać znamieny dualizm: z jednej strony — Komendant, przywódca; z drugiej —

podkomendni, wierzący mu niezachwianie, przeświadczeni o tym, że Komendant jest od myślenia, od decyzji, a oni od wykonywania jego rozkazów. A więc silna hierarchizacja. Uwidocznia się to wyraźnie po jego powrocie z Magdeburga, w momencie rodzenia się niepodległego państwa polskiego. Piłsudski ogłasza wówczas swego rodzaju manifest polityczny: że nie czuje się związany z żadnym ruchem politycznym, żadną partią polityczną, a jest jedynie reprezentantem całego narodu tworzącego się właśnie państwa.

Cóż potem znajdujemy w jego życiorysie? Kończy się okres narodzin państwa; mamy rząd, parlament, granice i Piłsudski ustępuje. Andrzej Gałlicki formułuje tezę, iż Marszałek miał wówczas do wyboru dwie drogi: albo zaszył się w zacisze domowe, stał się symbolem pewnej odchodzącej epoki, albo też nie rezygnował z ponownego dojścia do władzy. I Piłsudski wybrał to drugie.

JOZEF DUDA: — Choć okoliczności wskazywały na wybór pierwszej opcji...

EMIL HOROCH: — Tak, pozornie usadowił się na uboczu, lecz w latach 1922—26 myśli o odzyskaniu oddanej pozycji zdeminiowała jego poczynania. Co ciekawe, ta myśl stała się również wytyczną działania jego podkomendnych. Przypomnę w tym miejscu rok 1922 i zabójstwo prezydenta Narutowicza. Wówczas to ludzie z bezpośredniego otoczenia Piłsudskiego, jak: Miedzinski, Boerner, Koc, Matuszewski i inni, wspólnie z warszawską organizacją PPS, kierowaną również przez piłsudczyka Rajmunda Jaworowskiego, podejmują próbę przejęcia władzy. Scenariusz był bardzo prosty: początkiem akcji miał być pogrzeb robotnika zabitego przez bojówkarzy endeckich, następnie miano aresztować przedstawicieli sił prawicowych, a finałem byłoby wkroczenie Józefa Piłsudskiego na czele oddziałów wojskowych jako gwaranta porządku w państwie. Akcja została jednak udaremniona przez Igna-

Dokończenie na str. 8—9

relacje ZE ŚWIATA

● **SPOŚRÓD 41 ZAGRANICZNYCH PODRÓŻY JANA PAWŁA II** pięć przypada na Afrykę. W komentarzach po niedawno zakończonej papieskiej pielgrzymce po Czarnym Lądzie zwraca się uwagę na istotne znaczenie tego regionu świata dla przyszłości Kościoła katolickiego.

Otóż liczba katolików zwiększa się w Afryce o ok. 2,5 mln rocznie, obejmując już 70 mln ludzi. Kontynent ten — obok Ameryki Łacińskiej — stać się może głównym terenem katolicyzmu w skali światowej. Ale istnieją też granice przyswajania przez Kościół tradycji afrykańskiej: msze tańczone należą w Czarniej Afryce niemal do powszechności, bezżenstwo duchownych identyfikowane bywa z ułomnością etc.

Papież zapowiedział — pierwszy w historii synod poświęcony problemom afrykańskiego katolicyzmu.

● **DORADCA „SOLIDARNOŚCI”**, uczestnik „okrągłego stołu”, Jacek Kuroń znalazł się w gronie laureatów „Nagrody demokracji”, przyznanej przez amerykańską Krajową Fundację Krzewienia Demokracji. W momencie wręczenia Kurońowi nagrody przy-

dent Bush powiedział: — „Polska idzie w kierunku większych swobód dla wszystkich swoich obywateli, większego potencjału gospodarczego i większych możliwości ekonomicznych. Świat będzie to obserwował i był brawo”.

● **W WASZYNGTONIE** potwierdzona została wiadomość o planowanej na lipiec tego roku wizycie G. Busha w Polsce.

● **W GRUZJI** podczas zajęć, które miały miejsce w nocy 9 kwietnia, wojsko i siły porządkowe użyły — jak stwierdziła komisja lekarska — „substancji chemicznych bardziej złożonych niż tylko gaz łzawiący”. U poszkodowanych podczas zajęć wystąpiły zmiany w funkcjonowaniu układu nerwowego, zakłócenia w pracy dróg oddechowych i innych organów wewnętrznych. Do szpitali zgłaszają się osoby, które przebywały w pomieszczeniach skażonych nawet w kilka dni po interwencji sił porządkowych. Stosowana dotychczas terapia pomaga doraźnie i po pewnym czasie następuje nawrót objawów chorobowych.

● **W WYWIADZIE** dla „Czerwonego Sztandaru” przewodniczący strony ra-

dzieckiej komisji historyków powołanej do wyjaśnienia sprawców zbrodni katyńskiej, G. Smirnow, oświadczył, że materiały przedstawione przez stronę polską „nie dają wyczerpujących dowodów winy NKWD”. Stwierdził także, iż „praca komisji nie zasługuje na tak ostrą krytykę, jakiej jest poddawana w niektórych polskich publikacjach”.

● **PRZED SADEM** w Belfaście zakończył się proces przeciwko b. adiutantowi komendanta obozu koncentracyjnego na Majdanku — Karlowi-Friedrichowi Hoeckerowi. Za pomoc w morderstwie w udowodnionych trzech przypadkach (w każdym zginęło co najmniej 20 ludzi) skazany został na 4 lata pozbawienia wolności. Kara byłaby wyższa, lecz Hoecker otrzymał już poprzednio wyrok 7 lat twierdzy (co się przelicza na 10,5 roku „zwykłego” więzienia) w tzw. procesie oświęcimskim w 1965 r.

● **J. ARAFAT** oświadczył w Paryżu, że Karta OWP z 1964 r., negująca prawo Izraela do istnienia, jest nieważna.

● **W BERLINIE ZACH.** zlikwidowana została szajka złodziei samochodów, które następnie szmuglowane były do Polski i tu sprzedawane.

● **WĘGIERSKA SOCJALISTYCZNA PARTIA ROBOTNICZA** zamierza zre-

zygnować w znacznym zakresie z nomenklatury, wycofać organizację partyjną z zakładów pracy i przenieść je do miejsc zamieszkania. Wyszła także propozycja utworzenia dwuizbowego parlamentu oraz urzędu prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych, przy czym powinna nim zostać osoba nie będąca przywódcą żadnej z partii politycznych.

● **WĘGIERSKI** Komunistyczny Związek Młodzieży oświadczył, że uda się na Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów do KRLD, jednak bez „prezentów”, jakich życzą sobie organizatorzy. Świadczenia te miałyby mieć postać: 100 Ikarusów, sprzętu nagłaśniającego, jak również sfinansowania kosztów przejazdu oraz pobytu 100-osobowej delegacji jednego z krajów afrykańskich oraz 80-osobowej delegacji SFMD.

● **DOBRE RECENZJE** zbiera we Włoszech nakręcony tam — kosztem 10 mln. dolarów — przez Jerzego Skolimowskiego film „Wiosenne wody” według opowiadania Iwana Turgeniewa. Obraz ten najprawdopodobniej reprezentować będzie Italię na tegorocznym festiwalu w Cannes. A propos: do jury tego festiwalu zaproszony został Krzysztof Kieślowski; jedynym do tej pory Polakiem wśród canneńskich „sprawiedliwych” był Jerzy Skolimowski.

relacje z KRAJU

● **UCZESTNICZY** Krajowej Konferencji Delegatów PZPR w czasie dwudniowych (4 i 5 maja) obrad ocenili stan realizacji uchwał X Zjazdu i na tle dokonujących się w kraju przemian sformułowali zadania i kierunki pracy partyjnej na drugą połowę międzyzjazdowej kadencji. Przyjęli także deklarację wyborczą PZPR.

Przytaczamy fragmenty wystąpienia dwójki delegatów z Lublina. Izabella Sierakowska, nauczycielka, przez ZM ZNP, powiedziała m.in.: „Obudźcie się, towarzysze! Co innego «młoci» się na świecie co innego mówi w kuluarach. Z czym my wyjdziemy do naszych wyborców?”. W wypowiedzi swej I. Sierakowska przytoczyła nie rozwiązane od lat problemy: mieszkaniowe, placowe, dotyczące świadczeń emerytalnych, mówiła też o malejących nakładach na oświatę.

A oto początek wypowiedzi prof. Zdzisława Cackowskiego, rektora UMCS: „Ciągle jesteśmy mocniejsi w produkcji słów niż w produkcji rzeczy... Pieniądz już stał się prawie tylko abstrakcyjnym symbolem... Słabość «okrągłego stołu» polega na tym, że

jest to ciągle i dopiero sukces wspólnego gadania...”

● **RADA DS. ATOMISTYKI** wypowiedziała się za rozwojem energetyki jądrowej w Polsce.

● **DO SEJMU** wpłynął projekt ustawy o przywrócenie do pracy osób zwolnionych po 13 grudnia 1981 r.

● **LECH WAŁĘSA** powiedział, że zdobycie około 20 procent mandatów w Sejmie i 50 proc. w Senacie przez NSZZ „Solidarność” będzie dużym sukcesem.

● **MINISTROWIE** finansów i pracy ogłosili zasady indeksacji płac. Podstawą będzie wzrost cen między grudniem 1988 r. a marcem br., który przekroczył 28 proc.

● **W 27 KOPALNIACH** miały miejsce protesty górnicze (w kilku doszło do strajków), organizowane w większości przez federację zrzeszoną w OPZZ. Główny postulat dotyczył zwiększenia stawek o 50 proc. Z odpowiedzi ministra Wilczka: „Spełnienie tych zadań oznaczałoby wydanie w tym roku dodatkowo 300 miliardów zł na płace. Zmieniliby to zarazem proporcje — w stosunku 2,2:1 — mię-

dzy wynagrodzeniem górników, a średnią płacą krajową. W podzespolu «okrągłego stołu» ds. górniczych ustalono, że proporcja ta wynosić będzie 1,7:1”.

● **SREDNIA CENA** 2-tygodniowego pobytu na wczasach tegorocznego lata wyniesie 70—75 tys. zł. Przewiduje się, że mimo to z różnych form wypoczynku skorzysta ok. 2,8 mln. osób.

● **PO UROCZYSTYM** i międzynarodowym „przepliwaniu deski” w Mosinie (woj. poznańskie) ruszyła jedna z najnowocześniejszych w Europie wytwórnia mebli. Zakład ten wchodzi w skład zespołu Swarzędzkiej Fabryki Mebli. Kredytu na jego budowę (i wyposażenie) udzieliła szwedzka firma IKEA. 70 proc. wyprodukowanych w Mosinie mebli trafi na eksport.

● **PRZEMYSŁ** zaproponował handlowcom na drugie półrocze br. 31 mln. par obuwia skózanego i skóropodobnego, a więc znacznie mniej niż wynoszą potrzeby. Obuwia dla kobiet (zwłaszcza zimowego) trzeba dwa razy więcej, dla mężczyzn zabraknie 14,5 mln. par butów. Trampki i tenisówki będą tylko sennym marzeniem.

● **KOMBINAT ROLNO-SPOŻYWCZY „IGLOOPOL”** w Dębicy przekształcił się, z woli założycieli, w spółkę akcyjną. Na fundusz założycielski składa się 42 tys. akcji, zakupionych

głównie przez pracowników, o łącznej wartości 42 mld. zł.

● **J. PIŁSUDSKI** został patronem Gdańskiej Stoczni Remontowej. Uroczystość nadania imienia nastąpi 12 maja br. w 54 rocznicę śmierci Marszałka.

● **POLSKA** będzie prawdopodobnie drugim — po Węgrzech — państwem socjalistycznym, które zgodzi się na akredytację dziennikarza „Głosu Ameryki”.

● **KONIEC ROKU SZKOLNEGO** coraz bliżej... Dwaj chłopcy, uczniowie najstarszej klasy w Bańskiej Górnej koło Zakopanego, podpalił szkolne dzienniki, zawierające dowody ich marnych postępów w nauce. Wiad — choć z trudem — udało się uratować od ognia, po szkole została kupka popiołów.

● **„PIERESTROJKA”**, nowa piosenka A. Rosiewiczza, jest niecenzuralna — orzekł GUKPiW. Decyzję tę utrzymał w mocy Naczelny Sąd Administracyjny.

● **DO REJESTRU STOWARZYSZEN** wpisane zostało ostatnio — w Urzędzie Miasta Łodzi — Zrzeszenie Dzieci Polskich Germanizowanych przez Reżim Hitlerowski. Zainteresowani mogą zasięgnąć bliższych informacji, pisząc pod adres: ul. Mielczarskiego 5/26; 91-067 Łódź.

relacje z REGIONU

● **10 MAJA** minął termin zgłaszania kandydatów na posłów i senatorów do okręgowych (bądź wojewódzkich) komisji wyborczych. W chwili gdy kierujemy te słowa do druku nie jest jeszcze w pełni znana lista tych, na których głosować będziemy 4 czerwca.

Wiadomo, że — zgodnie z ordynacją — znajdują się na niej osoby rekomendowane (w tajnym głosowaniu) przez wojewódzkie instancje PZPR, ZSL i SD w Białej Podl., Chełmie, Lublinie i Zamościu; także desygnowane przez stowarzyszenie katolickie oraz popierane przez wojewódzkie komitety obywatelskie „Solidarność”; jak również ci, którzy prowadząc indywidualną kampanię w wyborczą zdołali zgromadzić 3000 podpisów.

Zakończony etap „do 10 maja”, bezprecedensowy w naszej dotychczasowej praktyce wyborczej, choć bogaty merytorycznie, barwny i hałaśliwy (nie obyło się też bez prób hochsztaplerki, o czym donoszono z Krasnika i Lublina), jest jednak dopiero wstępem do rozpoznawającej się właśnie bezpośredniej konfrontacji kandydatów i ich programów z wyborcami, a także — to też nowum — kandydatów między sobą.

Zarządzone wyżej kwestie znajdują swój reporterski i publicystyczny obraz w najbliższych numerach „Relacji”.

Odnosimy do lubelska Rozgłoszenia PR (program II, UKF) codziennie, w

godz. 13.20—13.50 oraz 17.15—17.45 nadaje audycję poświęconą wyborom, zaś począwszy od 10 maja (kolejne terminy: 12, 15, 17 i 19 maja, w godz. 18.30—19) emitowane są specjalne, lubelskie programy telewizyjne. W jednym i drugim przypadku swój czas antenowy (7 minut) ma Komitet Obywatelski „Solidarność”.

● **„DZIŚ MAMY 210** komitetów zakładowych (w grudniu 1981 było ich 1380), liczby członków nie da się precyzyjnie określić. Zresztą i komitetów, i ludzi, którzy podpisali deklarację, przybywa każdego dnia...” — powiedział podczas konferencji prasowej przewodniczący Tymczasowego Zarządu Regionu Środkowowschodniego NSZZ „Solidarność”, Stanisław Węglarz. Mowa była również o pierwszych dniach działania w naszym regionie „Solidarności” Rolników Indywidualnych.

Głównym jednak tematem rozmowy z dziennikarzami były sprawy wyborów do Sejmu i Senatu. O programie „Solidarności” i przebiegu kampanii poinformował przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”, prof. Jerzy Kłoczowski.

● **WKRÓTCE NA FRONTONIE ZAMKU LUBELSKIEGO** wmurowana zostanie tablica pamiątkowa, z następującą treścią: „Więziom Politycznym Zamku Lubelskiego represjonowanym i torturowanym w latach

1944—1954. W holdzie społeczeństwo miasta Lublina, kwiecień 1989”.

Projekt i model opracował artysta plastyk Kazimierz Stasz, odlew wykonany zostanie w pracowni metaloplastyki PKZ.

● **TEGOROCZNYMI LAUREATAMI** tradycyjnych już nagród Towarzystwa im. Henryka Sienkiewicza (z siedzibą w Lublinie) zostali: prof. Lech Ludorowski, kierownik Zakładu Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej UMCS, badacz spuścizny literackiej Sienkiewicza, oraz dr Stan Velea z Instytutu Literatury z Bukaresztu, tłumacz i popularyzator twórczości autora Trylogii.

Do Towarzystwa wpłynął wniosek o przyznanie godności członka honorowego Szymonowi Kobylńskiemu z Warszawy, Zenonowi Stachyrze z Chełma, prof. Januszowi Trzynadłowskiemu z Wrocławia oraz prof. Januszowi Pajewskiemu z Poznania. (a. w.)

● **PREZYDENT LUBLINA** sprzedał Zbigniewowi Korzebowskiemu, reprezentującemu grupę lubelskich prywatnych przedsiębiorstw, kamienicę przy Krakowskim Przedmieściu 17. Nabywcy zamierzają doprowadzić ten secesyjny obiekt (dziś bliski ruiny) do stanu świetności; na jednym z poziomów — jeszcze w tym roku — znajdzie się zwykły salon odzieżowy, na parterze (w przyszłym roku) ekskluzywna kawiarnia, zaś piwnice przeznaczane zostaną na galerię sztuki.

Miejmy nadzieję, że Zbigniew Korzebowski znajdzie naśladowców, bo w nich nadzieja na ratowanie lubelskiego

śródmieścia przed ostateczną degradacją, o czym było na tych łamach przed tygodniem (Pancl „Relacji”: „Palimy Lublin!”).

● **KILKA TYSIĘCY BYŁYCH ŻOŁNIERZY** ARMII KRAJOWEJ, w tym przybyli do Lublina z całego kraju, wzięło udział w uroczystości poświęcenia sztandaru AK Okręgu Lubelskiego, która w ostatnią niedzielę, 7 bm., odbyła się w kościele na Tatarach. Matką chrzestną sztandaru została córka dowódcy Okręgu Lubelskiego AK gen. Kazimierza Tumidajskiego „Marcina” — p. Wanda Tumidajska-Stryczula.

„KSIĄŻKI DLA LWOWA”

Kolejnymi ofiarodawcami książek dla dzieci polskich ze Lwowa są: **Mariusz Zdybek, Edmund Krawczyk, Tadeusz Mitrut oraz pracownicy Muzeum Lubelskiego**, którzy zebrali 220 książek i wydawnictw. Dziękujemy, informując jednocześnie, że zbiórka trwać będzie do końca maja.

Oprac.: Zbigniew Miazga

SPROSTOWANIE

W artykule Wiesława Horabika pt. „W służbie jednej prawdy” („Relacje” nr 16) wkradły się dwa poważne błędy korektorskie. W szpalcie 1, akapit 1, odpowiedni fragment powinien brzmieć: „nie czuje się zwolniony z tamtej przysięgi sprzed siedemdziesięciu lat”, oraz w szpalcie 6, akapit ostatni: „w tym rachunku wciąż za mało uczucia”. Przepraszamy.

(Red.)

AMERYKAŃSKI TYGODNIK O „PIERIESTROJCE”

ZSRR - DRUGA REWOLUCJA

Wiesław Horabik

JEDEN ze swoich kwietniowych numerów amerykański tygodnik „Time” poświęcił w całości Związkowi Radzieckiemu. W ten sposób czytelnicy z USA, a także anglojęzyczna społeczność międzynarodowa, otrzymali skondensowaną pigułkę, mającą pomieścić teraźniejszość niemal trzystumilionowej wspólnoty narodów. Wysłannicy pisma nie ograniczyli się jednak do zwyczajowych w takich ramach prób syntezy politycznej; „pieriestrojki” przefiltrowali przez wszystkie najważniejsze dziedziny życia społecznego: gospodarkę, technikę, sztukę, politykę, szkolnictwo, obyczajowość. Trafili do zakładów pracy, sklepów, sal wystawowych, kin i teatrów, a nawet na prowincję. Termin „pigulka” ma więc w tym przypadku wyłącznie formalny sens. Całość przypomina bowiem raczej znakomite studium o ZSRR z czasów Breżniewa — książkę Hedricka Smitha „Rosjanie” („The Russians”), tyle że w mniejszym formacie.

„Time” ani na moment nie wątpi, że działania Michaiła Gorbaczowa mają wymiar rewolucyjny. Nie oznacza to wszakże ani „rewolucyjnej krańcowości i chaoty czności przemian”, ani charakteryzującej każdą klasyczną rewolucję — brutalności aplikowanych metod. Idzie o głębokość przeobrażeń, o ich strukturalny i kompleksowy wymiar. Sam bowiem proces obliczony jest na lata. Jak mówi Bułat Okudźawa: „W ciągu ostatnich 70 lat stworzono nowego człowieka; jest on karny i łatwo go zastraszyć” — i dodaje: „To, co budowano przez dziesięciolecia, nie może zostać zmienione w ciągu dnia”. A jednak właśnie owo otwarcie się ludzi najbardziej fascynuje dziennikarzy „Time’a”, stanowiąc, ich zdaniem, jedyny jak dotąd element „pieriestrojki” już uwieńczony sukcesem. „Tego się nie da odwrócić”, „Nawet, gdyby upadła „pieriestrojka”, stare myślenie nie zdominuje już „głastności”. „Radości ze swobody wypowiedzania swych poglądów nikt już nie odda” — oto głosy moskiewskich rozmówców gazety.

Owa społeczna „burza mózgów” znajduje przy tym instytucjonalne wsparcie w zreformowanej ordynacji wyborów deputowanych ludowych czy w dekretach o samodzielności przedsiębiorstw. „Time” tak podsumowuje cały ten proces: „Ludzie radzieccy wiedzą już, jak wygląda życie bez strachu. Nauczyli się radości (ale także frustracji) swobodnej prasy, zwrócono im Pasternaka i rośnie otwarte wołanie o publikację Solżenicyna. Zasmakowali owoców prywatnego handlu i spółdzielczych kawiarni, odkryli możliwości (a także ulomności) prywatnej przedsiębiorczości, widzieli telewizyjną debatę kandydatów wyborczych i pytano ich, czy wierzą w Boga. Czytali artykuły odkurzające Trockiego, penetrujące demoniczny umysł Stalina i dające obraz poglądów Lecha Wałęsy”.

Entuzjastyczna ocena procesu otwarcia nie przysłania jednak komentatorom „Time’a” realnych zagrożeń. Za najpoważniejsze uznają odradzanie się nacjonalizmów i etnicznych partykularyzmów, prowadzące do niepokoju, z otwartym buntem włącznie. Przykłady wydarzeń w republikach mających historię ukształtowane mocne poczucie odrębności, jak Łotwa, Litwa, Estonia, Gruzja czy Armenia, sugestia te potwierdzają. Zdaniem „Time’a”, problemy narodowościowe będą kluczem decydującym o sukcesie bądź niepowodzeniu „pieriestrojki” w sferze

politycznej. Przy czym sukces w tej dziedzinie wydaje się o wiele łatwiejszy do osiągnięcia niż powodzenie przebudowy w sferze ekonomii.

„Pieriestrojka”, poza wszystkim innym, ujawniła bowiem, jak trudną rzeczą jest restrukturyzacja gospodarki, jak ogromne tkwią w tej dziedzinie bariery, jak wielostronne są uwarunkowania. Dostrzega to również sam Gorbaczow. Podczas jednej z konferencji partyjnych, u schyłku ubiegłego roku, powiedział: „Mówiąc szczerze, towarzysze, nie doceniłiśmy rozmiarów i głębokości deformacji”. A Nikołaj Szmelw, jeden z wybitnych radzieckich ekonomistów, ujął rzecz całą jeszcze bardziej dosłownie: „Jesteśmy teraz jak chory człowiek, który po długim okresie leżenia w łóżku stawia z ogromnym wysiłkiem pierwsze kroki i z przerażeniem dostrzega, że niemal zapomniął, jak się chodzi”.

Gorbaczow uważa, że porządkowanie gospodarki nie może dokonać się w odenaniu od pozostałych filarów jego reform, tj. od demokratyzacji życia społecznego, zmiany w metodach zarządzania i sposobie myślenia. „Wyzwalanie indywidualnej inicjatywy — twierdzi — nie jest możliwe w społeczeństwie, gdzie podejmowanie decyzji odbywa się w alienacji od ludzi”. Działania doraźne, połowiczne, powierzchowne, zamiast prowadzić do rozwiązywania problemów, prowokują jedynie powstawanie nowych. Przykładem może być choćby fakt pozabawienia moskwiaków normalnego mydła, gdyż producenci nastawili się wyłącznie na produkcję jego luksusowej wersji. Nadając im bowiem zdolności samofinansowania, nie stworzono zarazem odpowiedniej bazy surowcowej i kooperacyjnej.

Podobne przykłady funkcjonują nie tylko w przypadku mydła. Jedynym realnym rozwiązaniem wydaje się być pogłębianie i rozszerzanie obszarów wolnej gry rynkowej. Dziś ponad dwa miliony ludzi radzieckich pracuje już w kooperatywach i przedsiębiorstwach prywatnych. Szczególne znaczenie mają owe zmiany strukturalne w rolnictwie. Jak dotąd ZSRR przeznaczał bowiem około 15 proc. swego budżetu na subsydiowanie żywności, importując około 36 milionów ton zboża rocznie, a radziecki kolchoźnik był w stanie wyżywić zaledwie od siedmiu do dziewięciu osób, podczas gdy, na przykład, holenderski farmer zapewnia sytość około 112 ludziom.

Zachodni businessmeni, którzy odpowiedzieli na apele swych rządów o nawiązanie pełniejszych kontaktów handlowych ze Związkiem Radzieckim, napotykać wciąż na ogromne bariery, wielorakiej zresztą natury. Nieprzygotowanie radzieckiego personelu do efektywnej i wydajnej pracy („Nasi radzieccy menażerowie nie reagują na przykład na dzwonek telefonu, nie znają zasady notowania informacji”), brak rozmachu w wielokrotnianiu zysków („Zwiększymy zamówienia, ale może w przyszłym roku”), trudności w zdobyciu produktów o światowym standardzie („Ser i pomidory musimy sprowadzać z zagranicy”), ale nade wszystko brak wymiennalności rubla. Jego oficjalny przelicznik wynosi 1,60 dolara USA, zaś na czarnym rynku osiąga wartość zaledwie 10 centów.

Kłopoty w rozliczeniach finansowych to utracone nie tylko handlu zagranicznego, to także bólaćka rachunków wewnętrznych. „Biurokracja nie pytają mnie, jak wysoki podatek odprowadzam do skarbu państwa

— skarży się jeden z agentów moskiewskiej restauracji — lecz ile wkładam do własnej kieszeni”. Dyrektorzy samodzielnych przedsiębiorstw narzekają także na niejasną politykę podatkową, a co za tym idzie — na niemożność realnego kształtowania cen. Centralne planowanie, będące głównym źródłem deformacji gospodarki i utracania ludzkich inicjatyw, odchodzi w przeszłość opornie i zdecydowanie zbyt wolno.

Powszechne przekonanie, iż „pieriestrojka” stanowi wyłączną domenę stolicy i wielkich miast, nie znajduje w relacji „Time’a” potwierdzenia. Wizyta Johna Kohana w Tombowie, trzydziestoletnim mieście oddalonym o czterysta kilometrów na południowy wschód od Moskwy, ujawniła podobne wrzenie intelektualne na prowincji, i co ciekawsze — lepsze relatywnie zapotrzebowanie w produkty spożywcze i artykuły przemysłowe. Zwraca również uwagę uczelniane władze lokalnych na problemy ekologii.

W tombowskiej księgarni obok wydawnictw starej gaty, jak „Imperializm: działania, oblicza, fakty”, można kupić rosyjskie tłumaczenie autobiografii amerykańskiego prezydenta George’a Busha „Looking Forward”. To doskonała ilustracja przemian, w których sekretarz miejscowego komitetu partii Karpow upatrzył klucz do powodzenia reform: „Największym hamulcem „pieriestrojki” — mówi — nie jest lokalny aparat. To sami ludzie wciąż nie chcą zrozumieć, że teraz spoczywa na nich odpowiedzialność za podejmowanie autentycznych decyzji. Chcą, aby demokracja przywoziła im w tecze”.

Zmiany w myśleniu, w nowym pojmowaniu przeszłości i teraźniejszości ilustruje ankieta, którą na prośbę „Time’a” przeprowadziła w marcu 1989 roku radziecka agencja ds. badania opinii publicznej. Badania wykonano na populacji 1000 moskwiaków. Wyniki ankiety są ogromnie istotne dla zrozumienia społecznej świadomości mieszkańców dzisiejszego ZSRR. Oto pytania i odpowiedzi w kluczowych dla „pieriestrojki” dziedzinach.

Na pytanie o postępy „pieriestrojki” 2 proc. ankietowanych stwierdziło, iż przebiega ona bez żadnych zakłóceń, 15 proc., że z pewnymi zakłóceniami, 56 proc., że z dużymi kłopotami, a 20 proc. utrzymuje, że „pieriestrojka” została w swej istocie zahamowana. 45 proc. ankietowanych wyraża swe pełne poparcie dla Gorbaczowa, 34 proc. identyfikuje się z nim częściowo, 11 proc. ma odmienne zdanie w niektórych kwestiach, a 1 proc. nie popiera go.

W bloku pytań futurystycznych 25 proc. respondentów żywi nadzieję na poprawę swego losu, 17 proc. sądzi, iż ich życie nie ulegnie zmianie, a 32 proc. utrzymuje, iż stanie się ono jeszcze trudniejsze. (Ilustruje to stopień obaw o właściwy kierunek przebudowy).

W kwestii narodowościowej 25 proc. badanych twierdzi, iż antagonizmy pomiędzy grupami etnicznymi zostaną złagodzone, 31 proc. sądzi, iż ulegną one zwiększeniu, 20 proc. twierdzi, że zachowają obecny stan, a 24 proc. nie ma w tej kwestii zdania.

Warto również przyjrzeć się ocenie trzech poprzednich epok w historii ZSRR, tj. stosunkowi respondentów do Stalina, Chruszczowa i Breżniewa. Otóż 30 proc. ankietowanych ocenia bardzo negatywnie Stalina, 21 proc. Breżniewa, a tylko 3 proc. Chruszczowa. Negatywnie: 32 proc. Stalina,

48 proc. Breżniewa i 14 proc. Chruszczowa; częściowo negatywnie i częściowo pozytywnie: 13 proc. Stalina, 18 proc. Breżniewa i 36 proc. Chruszczowa; pozytywnie: 1 proc. Stalina, 1 proc. Breżniewa i 1 proc. Chruszczowa (sic!); trudno powiedzieć: 18 proc. Stalina, 18 proc. Chruszczowa i 8 proc. Breżniewa.

Publikacja „Time’a” pełna jest rezydentów, oglądu nowego ZSRR z perspektywy zadawanych wizji. Po kilkunastu latach nieobecności powracają do Moskwy m.in. wydalony niedługo komentator Stanley W. Cloud i jeden z najbardziej znanych dysydentów epoki breżniewowskiej, pisarz i poeta, od lat zamieszkały pod Paryżem, Andrej Siniawski. Ich opinie posiadają szczególną wartość, gdyż sięgają bardziej do zmian systemowych niż zewnętrznych objawów „pieriestrojki”. Opinia Siniawskiego przefiltrowana jest przez głęboką znajomość rosyjskiej duszy.

Obaj utrzymują, iż przed Gorbaczowem stoi jeszcze ogrom zadań i że dzieło całe kryje w sobie tyleż entuzjazmu, ile niebezpieczeństw klęski. Podzielają w tym względzie zdanie Henry Kissingera, który podczas niedawnej wizyty w Moskwie powiedział: „Jest rzeczą pewną, iż sprawy nigdy już nie będą wyglądały w Związku Radzieckim tak samo jak przedtem. Gdyby miał to być jedyny rezultat tak herkulesowego zadania, jakie tu podjęto, to i tak fakt, iż Związek Radziecki uległ tak głębokim przemianom, ma fundamentalne znaczenie historyczne”. Większość komentatorów podtrzymuje przy tym przekonanie o decydującym znaczeniu efektów gospodarczych. Siniawski ujmuje to metaforycznie: „Łatwiej jest opublikować «Doktora Żywago», niż wyprodukować kilo salami”.

Zmiany w obyczajowości społeczeństwa radzieckiego to nie tylko erupcja zespołów rockowych, elementy seksu i crotki w późnowieczornych programach telewizyjnych, kukły Breżniewa w moskiewskim parku, zachodni styl ubierania się, bycia i zachowania znacznej części młodzieży — to nade wszystko ogromne twórcze ożywienie w dziedzinie literatury, teatru, filmu. To dzieła niosące nowe humanitarne przesłanie, nie ograniczone przy tym do tendencji rozrachunkowych, choć te wyraźnie przeważają.

Ożywienie w świecie ducha ma jednak wymiar o wiele bardziej aktualny. Dotyka niedysyjszych tematów tabu: problemów przestępczości, frustracji nieletnich, skutków wojny w Afganistanie, niedostatku materialnego wcale niemałej grupy ludności. Podobnie jak rozchwytywane publikacje „Ogonioka”, „Moskowskich Nowosti” czy „Nowego Miru”, stanowią one pewien trwały dokument czasu.

Rzetelność i założona uczciwość przekazu „Time’a” ma znaczenie ogromne. Dzięki takim inicjatywom dokonuje się zmiana we wzajemnej recepcji nie tylko radziecko-amerykańskiej, ale szerzej — w odbiorze Wschodu na Zachodzie i odwrotnie.

W końcowym fragmencie swej syntezy „Time” pisze: „Alternatywą nie jest to, że „pieriestrojka” może nagle zostać uznana za sukces — nawet niecierpliwym Borys Jelcyń powinien unikać tu euforii — lecz to, by reformy były kontynuowane. To podstawowa sprawa zarówno dla Rosjan, jak i tych, którzy skazani są na współżycie z nimi. Każda nowa manifestacja demokracji, każda nowa szansa na wyzwolenie indywidualnej przedsiębiorczości, każde nowe otwarcie na wolną myśl i jej ekspresję pomaga zmniejszyć represyjne stosunki między radzieckim państwem a jego populacją. To z kolei czyni z nowego ZSRR o wiele mniej niebezpiecznego obywatela świata. Ostatnie wybory były kolejnym aktem w ciągu dramatycznych zdarzeń, które od czterech zaledwie lat zmieniają radykalnie oblicze tego państwa i jego duszę”.

ROZWAŻANIA O MUZYCE CZARNE CZY BIAŁE?

Mariusz Dubaj

STALINIZM. Neostalinizm. Te hasła często goszczą obecnie na łamach prasy, w radiu czy telewizji. Wnikliwy obserwator może sobie postawić pytanie, jak epoka ta zapisała się w sztuce, muzyce. Otóż był to okres bezwzględnej dominacji tzw. socrealizmu, będącego w istocie realizmem stalinowskim. W myśli owej doktryny tępił wszelkie przejawy

poszukiwań awangardowych, swobodnego wyboru tematyki, narzucając twórcy równo proste środki wypowiedzi, dostępne słuchaczowi masowemu, jak też treści według linii wytyczonej przez system stalinowski.

Organizowano przesłuchania nowo powstałych utworów przez komisje, w których decydujące zdanie posiadali funkcjonariusze

aparatu władzy. Stworzono system specjalnych „zamówień”, których niewykonanie groziło pozbawieniem pozycji zawodowej i społecznej oraz utratą środków utrzymania.

Pomimo panującego terroru psychicznego i fizycznego muzycy starali się poszukiwać sposobów omięcia niszczących dla sztuki ograniczeń. Wielu powstających wówczas utworów nie ujawniono; wykorzystywano niekompetencje urzędników. Część wartościowych jednostek na zawsze opuściła Polskę (np. Andrzej Panufnik). Twórcy wybitni próbowali zmieścić się w ciasnym gorsecie ograniczeń (chlubnym wyjątkiem był np. Witold Lutosławski, który skomponował najwybitniejsze dzieło tego okresu, Koncert na orkiestrę).

Niestety, dominowali wówczas autorzy kantat o Stalinie i temu podobnych „dzieł”,

o których dzisiaj historia milczy. Ponadto wielu wybitnych później twórców zmuszonych było, z różnych powodów, iść na kompromisy z ówczesnym reżimem totalitarnym.

Dopiero rok 1958 położył kres temu tragicznemu dla polskiej kultury okresowi. Oficjalnie głoszona w Polsce doktryna socrealizmu przestała obowiązywać. Od tego czasu datuje się бурny rozwój muzyki polskiej, który przyniósł dzieła twórców tej miary, co Lutosławski, Penderecki, Baird, Serocki, Szalowski, Kilar i wielu innych. Ponadto co kilka lat pojawia się nowa generacja, czyniąca imię Polski znanym i cenionym w świecie.

Można sądzić, że to właśnie artyści mają szczególne prawo do przeciwności dla stalinizmu, gdyż unicestwiano na to, co w narodzie jest najcenniejsze — sztukę.

RODZINA Wolskich patrzy na mnie jak na zrzutka. Wylądowałem w ich krańskim mieszkaniu. Niespodziewanie. Dzień był pogodny, zupełnie nie kwietniowy, ciepły. Drzwi otworzyła mi Jadwiga Wolska, pseudonim „Jadzia” (Krzyż Partyzancki, Medal Zwycięstwa i Wolności). Zaprosiła do środka.

— Pan by chciał mówić o wojnie? A czy to warto? No cóż, była potrzeba, to się walczyło. Jak kto umiał... Najwięcej wycierpiał ojciec. Najpierw katorżali go w lubelskim Zamku, potem w Oświęcimiu i w Mauthausen. Nikogo

Tymczasem Weronika Wolska z córkami odbywała kwarantannę w Chelmie. (Starszą z nich, trzynastoletnią Jadwigę, Niemcy chcieli zabrać na roboty do Rzeszy. Dosłownie cudem udało się tego uniknąć). Ostatecznie, przez Lublin, dotarła z córkami do Rzeszycy, gdzie czekał już mąż. Była zima 1939 roku.

— Józka nosiło. Nie mógł usiedzieć spokojnie. On, zawodowy wojskowy, nie mógł się pogodzić z myślą o klęsce. Szybko zaczął szukać kontaktów z ruchem oporu. I znalazł... — mówi Weronika Wolska.

zestąpienie z partyzantką. Wkrótce potem poznałam „Alego” Szymańskiego, który zrobił na mnie wielkie wrażenie. Był typem bojowca-intelektualisty, a przy tym świetnego organizatora. Zaproponował, abym poszła na kurs sanitariuszek. Tak trafiłam do GL. Kurs prowadził ukrywający się lekarz żydowski o pseudonimie „Znachor”. Uczyłyśmy się opatrywania ran porażonych, tamowania upływu krwi, składania złamań. Wkrótce po zakończeniu kursu rozpoczęliśmy konkretną pracę. Chodziliśmy do lasu opatrywać partyzantów bądź pielęgnowaliśmy

konywać o czym innym. Jadwiga została kiedyś schwytana przez volksdeutsche Glinkowskiego, który koniecznie chciał odstawić ją na roboty. Kilkakrotne wizyty Niemców we wsi onal nie zakończyły się postawieniem rodziny pod ścianę. Przeżyli jednak. I mimo wszystko.

Po wyzwoleniu Wolscy przenieśli się do Kraśnika. Józef podjął pracę w Demu Książki, Weronika zajmowała się domem. Jadwiga poszła do lubelskiej szkoły Vetterów, a potem do pracy w PZGS.

Dziś, kiedy ich odwiedzam, Józef, Weronika i Jadwiga są emerytami. Senior Wolski skończył 91 lat, jego żona jest młodsza o trzy, a córka dobiega sześćdziesiąt trzeci.

— Przeszliśmy swoje — powie Jadwiga. — Różnie bywało w życiu. Raz lepiej, raz gorzej. Jak pan widzi, niczego się nie dorobiliśmy. Ani pieniędzy i majątku, ani zaszczytów. Zadowolaliśmy się też małymi sprawami, przyziemnymi. Ot, powiedzmy, że przez dwa tygodnie nie trzeba wzywać do ojca pogotowia. Od kilku lat ma kłopoty z oddawaniem moczu i jest cewnikowany. Najgorzej jest, gdy cewnik się zatyka i trzeba szybko szukać pomocy lekarskiej. Mama od ubiegłego roku ma wszczepiony elektroniczny stymulator serca. Bez niego nie mogłaby po prostu żyć. No, a ja od dziesięciu lat cierpię na jaskrę. Byłam operowana, stała bierzę lekarstwa. Ataki jednak się ponawiają i utrata wzroku może mnie spotkać nie wiem kiedy. Poza tym jednak wszystko w porządku. Zjemy, i to jest najważniejsze. Także i to, że nikt o nas nie może powiedzieć złego słowa.

BYC może jestem człowiekiem małej wiary, ale rozmawiając z kilkoma krańskimi, delikatnie wspominałem o Wolskich. Kiedy wreszcie dochodziło do precyzyjnego zlokalizowania, o których Wolskich chodzi, odpowiadali mniej więcej tak: „Porządni ludzie, ale chyba się nie za specjalnie ustawił w życiu”. Fakt, nie za specjalnie. Kraśnik i okolice znają przypadki karier znacznie bardziej błyskotliwych. Budowanych na partyzanckiej przeszłości i poparciu kolegów z lasu. Nie jest tajemnicą, że w wojewódzkim Lublinie „lobby krańskie” ma swoją siłę przebicia i znaczenie. Wolscy zawsze pozostawali poza kręgiem lokalnego „establishmentu”. Stąd może bierze się ich sytuacja, o której — dopiero teraz, gdy tekst zbliża się do końca.

Mówi mi porucznik „Góra Mały”: — Choć mam 91 lat, jeszcze raz poszedłbym do partyzantki walczyć o... telefon.

Mówi to z przekąsem, podsztytm goryczą. Rzeczywistość jest jednak taka, że Wolscy od dwunastu lat toczą swoją małą bitwę o telefon, który jest im potrzeby nie dla zbytków towarzyskich, a brutalnie i wprost rzeczy ujmując — do ochrony i ratunku ich życia. Oczywiście pisali, monitorowali, dostarczali potrzebne zaświadczenia. Kiedyś poczta rzucała odpowiednie na gotowych druczkach, że nie widzi możliwości instalacji przed którymś tam rokiem. Ostatnio, od kilku lat milczy dokładnie. Brak możliwości technicznych! Teoretycznie może i brak. Tylko jakimś dziwnym trafem w osiedlu, gdzie mieszkają Wolscy, są ludzie, którym telefony zakładano już potem, jak Jadwiga zaczęła występować o tę lastkę kontaktu ze światem.

Znam życie wystarczająco, by wyrazić podejrzenie, że gdyby chodziło nie o ludzi tak zwykłych jak oni, a powiedzmy o nacelnika, sekretarza, prezesa czy dyrektora Jakiejś Ważnej Instytucji, sprawy by nie było. Bo im telefony potrzebne są „ze względu na charakter pełnionej pracy”. Wolskim, cóż, tylko z tego powodu, że chcą żyć dłużej. I nie umierać głupio. Z takiego choćby powodu, że trzeba będzie szukać automatu, gdy pani Weronice wysiadzie stymulator, a i też bez gwarancji, że będzie telefon w ogóle czynny. Być może są to małe sprawy małych ludzi. Jednak ci mali ludzie zdali swój egzamin wobec Polski celująco. Rachunku nie wystawiali. Nie dopominali się, piersi nie wypychali, nie żądali stołków.

Nikt by się pewnie nie dowiedział o ich cichej walce i zastanawianiu się, czy łatwiej było w partyzantce, czy z krańską biurokracją. Zdarzyło się jednak, że ktoś do redakcji napisał o Józefie Wolskim jako o żołnierzu trzech wojen. I dalej poszło...

Być może dożyje on zwycięstwa i w tej czwartej, krańskie. To, że tak akurat muszę pointować, nie dostarcza mi jakiegokolwiek satysfakcji.

ZASTANAWIAJĄ SIĘ, CZY ŁATWIEJ BYŁO WALCZYĆ W PARTYZANTCE, CZY Z KRAŃSKĄ BIUROKRACJĄ

NOTATKI Z BOJU

Waldemar Plasecki

nie wydał. Matka siedziała na Zamku trzynastę miesięcy. Nic nie powiedziała. Puścił ją. Mnie do partyzantki wciągnął „Ali” Szymański. Ukończyłam kurs sanitariuszek, a potem byłam w lesie czy też może — bywałam. Wszyscy mamy uprawnienia kombatanckie. No, a dziś, sam pan widzi...

Na ścianie wst zdjęcie mężczyzny w mundurze przedwrześniowym. Jest to mundur chorążego. Na piersi rząd medali.

— To ojciec — wyjaśnia Jadwiga.

Idzie go obudzić, bo o tej porze ucina sobie poobiednią drzemkę. Za ścianą — wymiana zdań. Po chwili wchodzi Józef Wolski, pseudonim „Góra Mały” (Krzyż Walecznych — trzykrotnie, Krzyż Wojny Obronnej, Krzyż Oświęcimski, Krzyż Kawalerski i inne). Patrzy uważnie.

— Przemasz, że jestem nieogolony. No, ale jak pan będzie miał dziewięćdziesiąt jeden lat, też nie codziennie będzie się chciało... Zresztą, o ja mówię? Pan ma brodę... Witam, witam! — mocno ściska moją dłoń.

Stoi przede mną mężczyzna średniego wzrostu w wełnianej czapce na głowie i okularach, spod których świdruje mnie niebieskim oczyma. Wygląda znacznie młodziej, niż deklarował przed chwilą. Siadamy do stołu.

— I na koniec ktoś sobie o nas przypomniał — mówi jakby do siebie. — Pewnie ktoś z kolegów z partyzantki panu o nas mówił. Może z obozu?

Odzywają wspomnienia.

Z wojskiem Józef Wolski związany był „od zawsze”. Mając siedemnaście lat, poszedł do Legionów. Bronił Lwowa przed nacjonalistami ukraińskimi, a potem przed Budionnym. Ranny. Po krótkim leczeniu w niepełnej sprawności — znów w linii. Znany z szaleńczej odwagi, człowiek bez instynktu samozachowawczego, desperat. Z walk o powstanie Niepodległej oraz uchronienie jej przed koncepcjami „porządkowymi” roku 1920 wynosi trzy Krzyże Walecznych i częściowy niedowład nogi, efekt postrzału z broni maszynowej pod Lwowem. Pozostaje w armii, ale nie chce robić kariery oficerskiej. Chce szkolić żołnierzy. Bezpłonie, twarzą w twarz. I to robi. Przez całe dwudziestolecie.

— Ostatnim moim przydziałem przed wybuchem II wojny był Włodzimierz Woliński i 23 pułk piechoty. Niestety, nie powalczyliśmy we wrześniu długo. Weszli Rosjanie i zgodnie z rozkazem Rydza, nie walczyliśmy z nimi. Złożyliśmy broń. Z ich odnoszenia do nas nie wynikało nic dobrego. Zaczęło wywozić gdzieś oficerów. Mnie jako chorążemu udało się zataić stopień. Dowiedziałem, że jestem kapralem. Bojąc się jednak, że sprawa się w końcu wyda, bo mieszkaliśmy całą rodziną w osiedlu przy koszarach i ludzie znali, załatwiłem dokumenty na nazwisko Pęplinski. Dla siebie i żony. Żona z córkami przybyła na tereny okupowane przez Niemców w ramach wymiany z Ruskimi. No, a ja po przygodach, ucioczkach i zmyleniu n-pla przepłynąłem przez Bug. To mnie chyba uratowało...

Przedzierając się na zachód, chorąży Wolski spotkał swego znajomego z Lublina. Po krótkiej naradzie zadeklarował on pomoc. Zobowiązał się ulokować Wolskich w Rzeszycy Ziemiańskiej, u swojej rodziny. Józef natychmiast przekazał tę wiadomość żonie.

CHORAŻY Wolski nawiązał kontakt z Związkiem Walki Zbrojnej i został jego żołnierzem 1 maja 1940 roku. Zajmował się kolportażem nielegalnej prasy na rejon Urzędowa.

— Polegało to na tym, że w odstępie tygodniowych lub czasem dłuższych jeżdżeniem do Lublina, skąd odbierałem paczki z gazetkami i przewoziłem na swój teren. Do mnie zgłaszali się po nie ludzie z Potoka, Zaklikowa, Modliborzyc, Janowa. W tym kolportażu pomagała mi zresztą bardzo żona i córki: Jadzia i Wanda. W naszym mieszkaniu odbywało się sortowanie prasy i dzielenie jej na mniejsze paczki. Tak że jak się zgłaszał kolporter, to tylko odbierał zawiniątko i od razu zniknął. Gdy z jakichś powodów nie było możliwe dotarcie do nas, prasę rozwoziły córki, a głównie Jadzia. Jakże to były tytuły? Stary jestem i mogę się pomylić... Na pewno „Polska Żyje!” i „Polska Zbrojna!”

W lutym 1942 roku ZWZ został przekształcony w Armię Krajową, a wraz z tym chorąży „Góra Mały” stał się jej żołnierzem. Zbiegło się to zresztą z awansem do stopnia porucznika.

Sierpień czterdziestego drugiego był czarnym miesiącem AK na Lubelszczyźnie. Nastąpiła seria aresztowań. 25 sierpnia w Lublinie w mieszkaniu znajomych zostaje aresztowana Weronika, a na dworcu kolejowym — Józef. Zostają przewiezieni na Zamek.

— To była „wsypa” zrobiona od wewnątrz. Na dworcu „zdzjęł” mnie jak gruszkę z drzewa. Podeszło dwóch, wykręcili ręce do tyłu i mówią: „No, panie Wolski czy może »Mały Góra«, zabawa się skończyła”. Wiedzieli o mnie i o organizacji dużo. Z Zamku wozili mnie codziennie na przesłuchania „Pod Zegarem”. Od początku przyjąłem talktykę zgrywania głupiego. Nie wiem, czy to było najlepsze, bo może trzeba było grać na zwłokę. Opowiadać jakieś zmyślane historie, które by im zajęły jakiś czas na sprawdzenie. Bili mnie niemal codziennie. Podczas tych przesłuchań już po dwóch tygodniach miałem poodbijane płuca i nerki. Rany nie nadawały się goić... — wspomina Józef Wolski.

Nie mogąc wyciągnąć czegokolwiek z „Małego Góry”, gestapowcy skoncentrowali się na jego żonie.

— Też byłam bita, zastraszana. Wielokrotnie prowokowano mnie, mówiąc, że mąż się do wszystkiego przyznał, że upieranie się nie ma sensu. Niemcy nie wiedzieli jednak, że znam ich język i rozumiem, co do siebie mówią. Z tych uwag wynikało, że Józek nic nie mówi. Trzymałam się więc wersji, że nie wiedziałam o niczym. O żadnym kolportażu, prasie, Armii Krajowej, partyzantce. Musiałam być przekonująca, bo częstotliwość przesłuchań malała...

Po aresztowaniu rodziców Jadwiga zamieszkała u Aleksandry Zbękowej. Pomagała jej szyć, a z córką gospodyni, Stanisławą, piekła chleb, który był wysyłany rodzicom na Zamek.

— Jesienią 1942 roku, chyba we wrześniu lub październiku, Stasia Zbękowa przyniosła skrawki czerwonego płótna i białe nici. Zapytała, czy nie pomogłabym jej wyszywać na tych trójkątach liter: G i L. Co to znaczy? — spytałam. — „Gwardia Ludowa” — odpowiedziała mi. Takie było moje

rannych przywożonych do wsi. Robiąc to, cały czas wierzyłam, że pomagam pośrednio także moim rodzicom — mówi Jadwiga.

Po trzynastu miesiącach Weronika Wolska usłyszała po kolejnym przesłuchaniu, że... zostaje zwolniona.

— Nie wierzyłam im za grosz — wspomina. — Spodziewałam się, że będą mnie śledzić, aby dotrzeć do ludzi, o których mogło ich chodzić. Jechałam do Rzeszycy z duszą na ramieniu.

Weronika przyjechała do córki Jadwigi (Wanda mieszkała u innych gospodarzy). Dowiedziała się, że Jadzia jest w partyzantce i że jest to inna partyzantka niż jej męża. Nie przeszkadzało. Liczyło się wtedy, że jakoś można się przed okupantem bronić, walczyć z nim. To dawało siły do przetrwania.

„Mały Góra” ciągle przebywał na Zamku.

Mówi:

— Przywykłem do bicia i katowania. Często było tak, że po godzinie „rozmawiania” ze mną pomieszczenie było zachłapanie krwią. Kilkakrotnie wynoszono mnie jako już nieżywego. Wreszcie powiedzieli mi, że zdechnę w Auschwitz. Było mi wszystko jedno. Po Zamku nie sądziłem, że może być jakieś gorsze miejsce.

RODZINA dowiedziała się, że Józef Wolski jest w obozie, gdy już tam dotarł. Weronika, dzięki znajomości niemieckiego, mogła swobodnie porozumiewać się z urzędnikami. Pozwalało jej to na organizowanie tytoniu, który następnie posyłała mężowi do Oświęcimia. Był to znakomity „pieniądz”, za który można było w kacecie dostać wiele, w tym dodatkowe racje żywnościowe. Jak powie dziś pan Józef, przeżył dzięki temu tytoniowi.

Po dziewięciu miesiącach w Oświęcimiu Wolski trafił z transportem więźniów do Mauthausen.

— W tym obozie zabijano przede wszystkim pracą. Nieludzką harówką ponad siły w kamieniołomach. Ludzie wypalali się jak świece. Gaśli w oczach. Wielu wiedziało, że następny dzień będzie ich ostatnim dniem życia. Moja robota polegała na borowaniu otworów pod ładunki wybuchowe. Robiło się ich kilkanaście, łączyło przewodem, po czym były równocześnie detonowane. Po wybuchu waliła się kilkunastometrowej wysokości ściana kamieni. Nim zabrano się do ładowania ich na wózki, trzeba było specjalnymi długimi drągami postrzącać „wiszące” w górze utamki skalne, dla których wybuch był za słaby. To należało również do „borerów”. W czasie takiego poprawiania wybuchu kawał skały spadł mi na prawą stopę i zmiażdżył palec. Upadłem nieprzytomny z bólu. Przyjaciele donieśli mnie do baraku i starali się kurczyć. Było to jednak niemożliwe i odtransportowano mnie do obozowego szpitala. Dzięki pomocy pracujących tam więźniów nie wykończono mnie. Wkrótce potem oboz wyzwolili Amerykanie...

Po kilkutygodniowej rekonwalescencji szpitalnej i odżywieniu porucznik Wolski wyruszył w drogę powrotną do kraju.

Jego rodzina cały czas pozostawała w Rzeszycy. Przeżyli wszyscy, choć kilkakrotnie sytuacje zdawały się prze-

BYŁEM SPEKULANTEM

Stanisław Harasimiuk

USCHYŁKU 1988 roku rynek wyglądał jak pijany statek. Przed Bożym Narodzeniem '88 byli desperaci, którzy za jednego dolara chcieli płacić cztery tysiące. A jeszcze w lipcu, gdy za dolara płacono w granicach półtora tysiąca, pesymiści wróżyli, że do końca roku '88 osiągnie on pułap 2000 zł, łamiąc barierę psychologiczną. Bariere dolar zdruzgotał w miesiąc później. W ciągu jednego półrocza kurs walut wymienialnych skoczył bez mała o dwieście procent.

Taka sytuacja, dowodząca agonii złotych, musiała wpłynąć na rynek, zwłaszcza wolny, ten w Rembertowie i na „Skrze” oraz w setkach innych targowisk, które rozmnożyły się na stadionach i placach polskich miast i miasteczek.

Postanowiłem rzecz prześledzić gruntnie, a więc na własnym grzbiecie. Postanowiłem zostać spekulantem. Jak co siódmy Polak, który handelem i giełdowymi (stadionowymi) transakcjami usiłuje ratować się przed złotowym potopem. Bujalem się na stadionach i targowiskach Lublina przez trzy miesiące, od schyłku ubiegłego roku.

29 grudnia '88, czwartek.

Jadę do Warszawy na comiesięczne zebranie reporterów. W drodze niewesołe myśli — że w ciągu 25 lat uprawiania reportażu nieustannie, niejako pod dyktando pulsowania polskiego permanentnego kryzysu, który Kisiel z negliżującą bezwzględnością nazywa rezultatem, wcielam się w rozmaite postaci: a to procentmistrza cukrownianego, a to bakunowego likwidatora PZU, a to kolejowego konwojenta, inspektora zbożowego, pracownika fabryki samochodów, kukulcze jajo na stacji obsługi, najemnego robota u budydylarza, wreszcie regularnego cinkciarza, rolnika, spekulanta czy typowego polskiego Argonauty wyprawiającego się autokarem po turecko-syryjskie złote runo.

Zawsze — za Gomulki, Gierka i dziś — byłem zdania, że prawdziwą kondycję Polaka, rzeczywistą sytuację gospodarczą kraju najlepiej widać przez pryzmat targowiska, giełdy, wolnego rynku (bo czy istnieje inny normalny?). Jeżeli ludzie zarabiający po pięćdziesiąt tysięcy gotówi są płacić krocie za dywan, przeszło milion za telewizor czy wideo, jeżeli gotowi są ponad sto pensji, dziesięć latnie całkowite zarobki oddać za byle jaki samochód, a jedną piątą gaży za butelkę kiepskiego koniaku — to coś tu nie gra. W takiej sytuacji głęboko tkwi czynnik destrukcji i demoralizacji. Układ deprecjonuje pieniądze i deprecjonuje pracę, bądź co bądź filary ludzkiej cywilizacji.

Mam nadzieję, że zgodę szefów na kolejną przebieganą otrzymam bez trudu. I tak się stało. Mój bezpośredni przełożony bez komentarza podpisał wcześniej przygotowany odpowiedni parafek.

W drodze powrotnej obyślam stosowny sposób przebrania się i kombinuję, jakie zdobyć akcesoria, niezbędne rek-

wizyty do zamyślonemu kramiku. Niestety, nie mam odpowiednich zasobów w mieszkaniu, a z byle czym na stadionowe giełdy w ogóle nie warto się wybierać. Mało się działo i niewiele zobaczy, niewiele stwierdzi.

30 grudnia '88, piątek.

Ratuje mnie żona i córka. Pierwsza ma zupełnie nową spódnicę już za cianą, druga wyrosła z lekko przechodzonego włoskiego kożuszka. Poza tym syn ma za duże buty zimowe, prezent od babci. A ja mego wysłużonego zenita, Ty-le. Mało.

Po południu idę na targ nie opodal ul. Ruskiej. Ruch jak diabli, wre handlowa gorączka. Mnóstwo Rosjan, ale z mało atrakcyjnym towarem. Poza złotem. Tego oferują wiele, garściami. I po przystępnych cenach. Ale nie mam dość gotówki na jakikolwiek wyrób z kruszcu. Nie kupiłem nic.

W domu raz jeszcze przeglądam szafę i garaż — nie znajduję żadnej rzeczy zbędnej, a nadającej się na sprzedaż. Muszę zdobyć coś wystrzałowego, co da mi wejście w środowisko, pomiędzy giełdowych tuzów. Potrzebuję rzecz dłuższą (wysokimi cenami) i osiągnę dubeltową korzyść: uznanie kuppli giełdowych oraz zbadanie możliwości, a raczej pojemności portfeli klientów. Tylko co „to” ma być i jak „to” zdobyć?

5 stycznia '89, czwartek.

Dziś kupiłem od Rosjan wiertarkę (25 tys.). Babuszka wyglądała na zadowoloną (na metce cena 70 rubli). A ja? Na pewno nie stracę, a na mój przyszły kram dojdzie piąta rzecz. A może zabrac też piętnastoletni magnetofon licencyjny „Grundinga”? Owszem, ale co będzie, gdy ktoś się uprze i kupi weterana? Na czym będę nagrywał wywiady?

Z obserwacji i z rozmów z handlarzami wynika, że ludzie, nasi i Rosjanie, przywożą mnóstwo złota. Widać znów się oplaca. Przez kilka ostatnich lat nikt złota nie przywoził. Teraz ruch w branży wielki. Wolne ceny za gram, średnio, piętnaście tysięcy (tam, w ZSRR, około pięćdziesięciu rubli).

Niebywały na targu tłok. Cała przestrzeń zajęta, przenosne kramiki wylewają się szeroko poza ogrodzony plac, wielu rozkłada towar na ziemi, na gazetach lub folii. Handlują emeryci. Ale i ludzie młodzi. Niektórzy — nieletni. W zasadzie pełen przekrój demograficzny. I pełny przekrój społeczny. Bywają nawet żony dyrektorów! Jedna z pań w rozmowie nie tała, kim jest jej małżonek.

Zatem: czy to bieda pcha ludzi do handelku? Może jest to także taki trend, może wielu daje się ponieść atmosferze współzawodnictwa, wyścigowi po pieniądze? Po trosze pewnie tak, choć muszę przyznać, że zdecydowaną większość ludzi wygonił na targ niedostatek, dość licznych — rzucająca się w oczy bieda. Trzon stanowią tzw. przeciętni ludzie. Pasują do nich jak ulał. W roku 1974 zarabiałem łącznie

10—12 tysięcy (czyli 130 dolarów czarnorynkowych), obecnie (styczeń, 89) otrzymuję łącznie z wierszówką około 60 tysięcy (czyli 15—20 dolarów). Nominalnie zrabiłem pięć razy więcej, ale faktycznie — trzykrotnie mniej. (Przy czym kiedyś wydawałem jeszcze książki. Teraz dwie moje książki drukowane są już od siedmiu lat i wydawnictwa nawet w przybliżeniu nie potrafią określić, czy drukarnie ukończą je w tym dziesięcioleciu, nie ma gwarancji nawet na to stulecie...).

8 stycznia, niedziela.

Inauguracyjny przebieganekowy występ na stadionie „Sygnalu” przy ulicy Zemborzyckiej.

Poznaję „szwagierki”, dwie młode panie, jedna z Lublina, druga z Krasnegostawu. Ich mężowie pracują w NRD i co parę niedziel przywożą stamtąd stosy towaru, głównie butów (po 45 tysięcy para! — idą jak woda), biustonoszy, czekolad, robotów, wyrobów ze skóry. Dziewczyny są na luzie, chwają się wszystkim, łącznie z intymnymi szczegółikami. Taki fason, „luz-blus”. Znają się w wymiennie na interesach, wszystkie kursy i przebitki mają w małym palcu. Same też często jeżdżą do NRD, Czechosłowacji, na Węgry. Gdy dowiadują się, że znam niemiecki, proponują wspólny wypad do „Enerdówka”.

— Szwagier, bankowo masz pół balona do przodu. Na czysto. — Za kilka dni prawie tyle co za rok pracy. Niezła perspektywa.

Tymczasem oferuję spódnicę żony, kożuszek córki, buty syna, mój aparat i trofiejną wiertarkę. Owszem, o kożuszek pytają, ale gdy podaję cenę (85 tysięcy), odchodzą bez słowa. Obniżam więc cenę na pięćdziesiąt tysięcy. Z tym samym skutkiem. Za wiertarkę dają mi nawet 30 000 zł, ale chcę 35 tysięcy, bo tak mnie poinstruowały „szwagierki”: taniej nie można, musisz mieć co najmniej „dychę do przodu”. Jestem im posłuszny, gram naiwnego, śpiącego dowcipasami szwagra-latę.

Nasilenie ruchu na stadionie rozpoczyna się przed dziesiątą (ale sprzedawcy warują już od siódmej, bo idzie cstra walka o miejsca) i trwa do trzynastej. Potem ludzie, owe dziesiątki tysięcy, sprawnie rozchodzą się na obiad. O czternastej giełda zamiera.

Naród przychodzi na stadion niekoniecznie po to, aby kupić coś konkretnego. Częściej idą po prostu popatrzeć, pogłądać. Zapamiętuję te same twarze ludzi obchodzących koronę stadionu po wielokroć; krążą samotnie lub z przyjaciółmi, nieraz całymi rodzinami. Zdeptali dróżkę wokół korony niemiłosiernie, blokco aż ciemka pod wyglansowanymi niedzielnie butami. Nic ludziom nie wadzi: ani błoto, ani padający na przemian deszcz ze śniegiem. Najwyżej ceny.

Są różne. Ale przeważnie wysokie jak na polskie pensje. Np. 35 tysięcy za dzinsy, 40—60 tysięcy importowane (NRD, Czechosłowacja) buty, 80—90 tysięcy turecka kurtka na misiu, 16 ty-

sięcy dziewięciodekowa puszczałka czarnego kawioru (u Rosjan o kilka tysięcy tańsza), cztery tysiące kilo cnerdowskiej salami, 13 tysięcy kilogram kawy. Ale jest, oczywiście, wszystko. Wszelki towar z całego świata. Można też nabyć, wymienić, sprzedać każde pieniądze. Rozpoznają cinkciarzy sprzedanku PeKaO na Królewskiej i „złotników” z ulicy Zielonej.

Ogromne ilości tureckiego chlamu. Bardzo ciężko się to sprzedaje. Dziś dzins ze Stambułu biorą już tylko klienci ze wsi i turyści z ZSRR. Na szczęście dla „turków” Rosjan jest sporo. Ci nie tylko kupują, również rozstawiają własne kramy. Zdumiewa rozmaitość przemycanych przez nich towarów — od przysłowiowego odikalo-na i sznurowadła po powidła. Zatręsienie mało gustownych drobiazgów (ale ludzie kupują masowo, bo tanio), dużo niezłego sprzętu kuchennego i zmechanizowanego, masa aparatów fotograficznych, nawet heblarki, piły mechaniczne, kombajny stolarskie, lodówki, zamrażarki, kuchnie gazowe, kaloryfery, glazura, okucia. Poza tym kakao, kawa, czekolada (masa jaj, o połowę tańsza niż w sklepie), kawior. No i złoto. A także telewizory (tych też mnóstwo, tanie — toteż idą jak woda). Zdarzają się kuchenki mikrofalowe (300—400 tysięcy).

Rozrzut cen na te same rzeczy oferowane przez Rosjan ogromny, gdyż poza masą naiwnych debiutantów sprzedających ruble po 200 zł, a kawior po cztery tysiące, sporo zjeżdża z Buga zawodowych handlarzy. Ci w niczym nie ustępują naszym „rekinom”. Tak samo wszystko im wychodzi, tak samo młoczą stosy pieniędzy, które z trudem upychają w portfelach, saszetkach i kieszeniach. Na giełdzie jaskrawo widać, że za niskie są nominaly naszych banknotów, przydałyby się 20-, 50-, a nawet 100-tysięczne. Bardzo ułatwiłyby one życie wielkim bossom obracającym setkami tysięcy i milionami w ciągu jednego giełdowego dnia.

Wobec „szwagierek” wyrażam podziw dla radzieckich hurtowników, którzy cudem chyba przemycili przez ortodoksyjną przecięt swoją granicę takie sterty towaru. „Szwagierki” uśmiechają się z wyższością i oznajmują, że na ogół nie ma złych granic ani nieprzejeźdźnych urzędników — wszystko jest kwestią „podejścia”.

— I co — dopytuję naiwnie — zawsze da się „podejść”?
— Nie, nie zawsze. Ale przeważnie.
— A co wtedy, gdy się wpadnie?
— Nic. Jest szambo i jest do tyłu.
— Przecież to wielka strata!
— Tak jakby. Nieraz prawie balon. Ale idzie raz — dwa odkuć.

Pouczająca jest ta znajomość ze „szwagierkami”. Są ostre, przedsiębiorcze. Typowe współczesne Matki-Polki, na których stoją domy opierające się kryzysowej fali. Dziewczyny nie do zdarcia i chyba nie do pokonania. Ale za twarde jakby, niekobiece.

Ja natomiast wielkich sukcesów, jako debiutant, nie odniosłem. Omal nie postradałem mego siedemnastoletniego zenita E, którym robiłem zdjęcie i dla „Sztandaru Ludu” niegdyś, i dla „TK” potem. Nieopacznie podałem cenę 25 000 zł i byłby poszedł. Więć natychmiast podbiłem stawkę o dziesięć tysięcy. Teraz stał się chyba bezpieczny: za 35 000 można dostać od Rosjan nowy model ET i to z lampą błyskową. Za to poszła, niestety, wiertarka. Rzuciłem starszemu rolnikowi owe przykazane mi przez „szwagierki” trzydzieści pięć tysięcy, a ten bez słowa wyjął forsy i zapłacił. Zarobiłem dziesięć tysięcy, ale straciłem akcesorium.

Przemokłem i przemarzłem do szpiku kości.

(Koniec odc. 1. — cdn.)

LISTY

„KŁOPOTY Z PATRONEM”

Nawiązując do sprawozdania z odczytu docenta ANS Władysława Ważniewskiego („Relacje nr 8/89), usiłującego wybronić Bolesława Bieruta od odpowiedzialności za represje stalinowskie w Polsce, pragnę podzielić się z czytelnikami pewną informacją.

W 1981 roku zostałem zaproszony na uroczystość odsłonięcia pomnika Polskich Artylerzystów w Toruniu. W czasie obiadu w Wyższej Szkole Oficerskiej Artylerii zajmowałem miejsce obok znanego pisarza wojskowego, płk.

Ludwika Głowackiego, niewinnie skazanego na śmierć w okresie represji stalinowskich, potem rehabilitowanego. Zadałem mu wówczas pytanie:

— Kogo pan pułkownik uważa za odpowiedzialnego za wydany wyrok śmierci?

Płk Głowacki bez chwili wahania odpowiedział:

— Bieruta, to on osobiście kierował tymi procesami.

Bez komentarza.

Ale cóż — pan docent Władysław Ważniewski z ANS nie chce znać prawdy. Wielu jest jeszcze takich w aparacie.

Mieczysław Pruszyński
Warszawa

„OD ŁAGRÓW KOMI...”

Słowa uznania należą się redaktorowi Mirosławowi Dereckiemu, który w sposób komunikatywny i chronologiczny, według narastających wydarzeń przygotowuje do druku poszczególne odcinki losów wojennych oficerów i żołnierzy Kadry Zapasowej 2 Szpitala Okręgowego w Lublinie.

Losy tej jednostki są tym bardziej ciekawe, ponieważ brak jest prawdopodobnie wydania w formie książkowej opisu dziejów kadry tej jednostki.

Pragnę nadmienić, że w latach trzydziestych jednostki wojskowe stacjonujące w Lublinie stały się chlubą i dumą całego społeczeństwa Lublina i Lubelszczyzny. Dużą rolę w integrowaniu wojska ze społeczeństwem odegrały

dni otwartych koszar dla mieszkańców Lublina i rodzin żołnierzy odbywających służbę, Święto Żołnierza 15 sierpnia, defilady pododdziałów na święto 3 Maja czy uroczystości rocznicowe odzyskania niepodległości 11 listopada.

Wielką manifestacją więzi społeczeństwa z wojskiem były uroczystości żałobne marszałka Józefa Piłsudskiego. Odbył się wówczas przemarsz wojsk garnizonu lubelskiego przed wystawionym na placu Liteuskim popiersiem Zmarłego. Dużą ofiarność w sytuacji zagrożenia bytu państwowego społeczeństwo Lubelszczyzny wykazało w ramach zbiórki na FON.

Jerzy Górski
Białystok

AUTOR zamieszczonego obok szkicu wspomnieniowego „Zły znak”, prof. Jerzy Roman Krzyżanowski, mieszka od dwudziestu kilku lat w Stanach Zjednoczonych. Pisarz, krytyk, eseista — jest wykładowcą sławistyki i literatury polskiej na uniwersytecie w Columbus, w stanie Ohio.

W 1987 roku „Czytelnik” opublikował jego książkę: „Legenda Samosierry i inne prace krytyczne”; jest to zbiór szkiców poświęconych prozie polskiej i jej recepcji w krajach anglosaskich. Znalazły się tam m. in. prace prof. Krzyżanowskiego o twórczości Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza (jego nieznanych listach amerykańskich). Władysława Reymonta, Bolesława Prusa, a także szkice krytyczne o Witkacym, Aleksandrze Jancie, Jerzym Andrzejewskim, „Dadzą one, być może — pisze autor w przedmowie do książki — pewien wgląd w warsztat amerykańskiego polonisty, pracującego w oderwaniu od archiwów i roczników starych czasopism, choć dysponującego wieloma wydawnictwami trudno dostępnymi w Polsce”.

Książkę zamyka szkic zupełnie odmienny od pozostałych. „Wspomnienie o moim ojcu”, o wybitnym polskim literaturoznawcy i historyku polskiej literatury, profesorze Julianie Krzyżanowskim (1892—1976).

Julian Krzyżanowski podczas I wojny światowej znalazł się w Rosji. Związany z Polską Organizacją Wojskową, trafił w okresie rewolucji — wraz z dywizją generała Czuma, której był żołnierzem — na Syberię. Później, okrężną drogą przez Chiny, wędrował do Polski.

„Przywiózł też z Chin — pisze Jerzy R. Krzyżanowski — młodszą żonę, zagnaną losami do Lublina do Charbina, a gdy po okrajeniu połowy świata osiadł w Lublinie i doczekał się syna, dał mu na chrzcie drugie imię na pamiątkę wiernego przyjaciela z czasów uniwersyteckich, autora właśnie wydanych „Siedmiu lat na Syberii”.

Ten przyjaciel to znakomity znawca literatury angielskiej i amerykańskiej, profesor Roman Dyboski.

Osiedliwszy się z żoną, Emilią z Sobieszczanów, w jej rodzinnym Lublinie, rozpoczął Julian Krzyżanowski pracę w żeńskim gimnazjum im. Unii Lubelskiej jako nauczyciel języka polskiego. Prowadził także wykłady w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Krzyżanowski mieli dwoje dzieci: córkę Teresę i syna — Jerzego Romana, urodzonego 12 grudnia 1921 r.

Po wyjeździe Juliana Krzyżanowskiego (od 1927 do 1930 r. prowadził wykłady w Londynie, od 1930 do 1934 — w Rydze), Emilia Krzyżanowska z dziećmi nadal mieszkała w Lublinie. Tutaj Jerzy R. Krzyżanowski ukończył szkołę powszechną i tutaj wstąpił do Gimnazjum im. Batorego. Związany był z harcerstwem.

Kiedy wybuchła wojna, Jerzy Krzyżanowski miał niespełna siedemnaście lat. Jak wielu jego rówieśników musiał przerwać naukę. Rozpoczął pracę zarobkową, aby pomóc rodzinie i aby uniknąć wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Pracował w warsztatach samochodowych „Auto-Union” przy ul. Zabiej. Jednocześnie uczęszczał na tajne komplety gimnazjalne.

Praca w przedsiębiorstwach tego rodzaju jak „Auto-Union” dawała tzw. „mocne papiery”, a co za tym idzie, sprzyjała dobremu zakonspirowaniu tych, którzy związani byli z podziemiem. Jerzy R. Krzyżanowski był żołnierzem Armii Krajowej, uczęszczał na kursy konspiracyjnej podchorążówki.

W końcowym okresie okupacji „Szpic” (bo taki przybrał pseudonim) znalazł się w partyzanckim oddziale „Szarugi”. Oddział „Szarugi”, dowodzony przez podporucznika rezerwy Aleksandra Sarkisowa, był oddziałem specjalnym AK, zajmującym się głównie odbiorem i zabezpieczeniem zrzutów dokonywanych przez samoloty alianckie. Działal w rejonie Bychawy i Belżyc. Akcja odbioru zrzutów była o-

gach tworzącej się 2 Armii WP, był również Jerzy R. Krzyżanowski.

W niedługi czas potem, w atmosferze podejrzliwości wobec byłych akowców, rozpoczęły się wśród żołnierzy i oficerów WP aresztowania; w sądach zapadały wyroki skazujące, oparte na bezpodstawnych oskarżeniach. Został także aresztowany ppor. Jerzy R. Krzyżanowski. Wywieziony specjalnym transportem do Związku Radzieckiego, do 1947 roku przebywał w jednym z podmoskiewskich obozów. Zwolniony, wrócił do Polski. Osiedliwszy się w Warszawie, gdzie pomocą służył mu ojciec, prof. Julian Krzyżanowski, ukończył wyższe studia humanistyczne i rozpoczął pracę naukową. Na początku lat sześćdziesiątych wyjechał do Sta-

pierwszej miłości, lubelskiej Diany) to kontynuacja losów Jacka Krzemienia, znanego kanadyjskiego dziennikarza sportowego. Człowieka, który wciąż nie może pogodzić się z wyrzdanymi mu kiedyś krzywdami i z tym, co zwykło się nazywać: „obrotem walca Historii”. Rzecz dzieje się w czasie przygotowań do Olimpiady w Calgary i w okresie stanu wojennego w Polsce.

Najnowsza, przygotowywana przez Jerzego R. Krzyżanowskiego książka to zbiór szkiców wspomnieniowych (w formie krótkich opowiadań), dotyczących partyzanckiego oddziału „Szarugi” i podchorążego „Szpic”. Także późniejszych jego losów: w szeregach 2 Armii WP i w podmoskiewskim obozie.

PARTYZANT OD „SZARUGI”

Miroslaw Derecki

kreślona kryptonimem „Podkomornik”. Odebrano w ramach tej akcji około dziesięciu zrzutów. Na lądowiska wyznaczone i strzeżone przez oddział „Szarugi” skakali też „cichociemni”.

Oddział „Szarugi” powstał w okolicach Motycza. W 1944 roku liczył około stu żołnierzy. Składał się z trzech drużyn bojowych, kilkunastoosobowego zwiadu konnego i drużyny dowódcy. Żołnierze „Szarugi” byli doskonale uzbrojeni w zrzutową broń i umundurowani w brytyjskie battle-dressy lub spadochroniarskie kombinezony. Bardzo liczną grupę w oddziale stanowiła młodzież pochodząca z samego Lublina.

Ze względu na swój charakter oddział „Szarugi” był oddziałem „lotnym”. Z uwagi na brak większych lasów w rejonie, w którym musiał stale operować, bardzo często zmieniał miejsce postoju. Dlatego m. in. służyła w nim była wyjątkowo ciężka i niebezpieczna. Niemcy wiedzieli o zrzutach i z wielką zajądłością usiłowali wytropić tych, którzy je odbierali.

Opowiadanie-wspomnienie Jerzego R. Krzyżanowskiego „Zły znak” dotyczy okoliczności odbioru jednego z takich zrzutów, w dniu 5 maja 1944 r.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich i oddziałów generała Berlinga na Lubelszczyznę „Szaruga”, wraz z częścią swoich ludzi, wkroczył do Lublina i zgłosił gotowość wstąpienia do polskiego wojska. Wśród młodych oficerów, którzy znaleźli się wówczas w szere-

gach Zjednoczonych i zdecydował się tam pozostać.

Poza wspomnianą już książką „Legenda Samosierry i inne prace krytyczne”, dostępną dla polskiego czytelnika, jest prof. Jerzy R. Krzyżanowski autorem książki o gen. Leopoldzie Okulickim, ostatnim Komendancie Głównym Armii Krajowej, skazanym w słynnym moskiewskim „procesie szesnastu”, a także dwóch książek beletrystycznych: wydanej w 1986 roku przez Bicenial Publishing Corporation w Nowym Jorku powieści „Diana” i opublikowaną niedawno przez Instytut Literacki w Paryżu jej „dalszego ciągu”, powieści zatytułowanej „Banff”. (Nb. „Diana” pretendowała w ubiegłym roku do przyznawanej w Lublinie Nagrody im. Bolesława Prusa).

„Diana” jest powieścią „z kluczem”. Umiejscowiona w realiach wojennego i tuż powojennego Lublina, ukazuje dramatyczne losy bohaterów, którzy znaleźli się w „tyglu historii”; którzy cierpią prześladowani nie za swoje winy; którzy są bezprawnie aresztowani i często wywożeni z kraju tylko z tego powodu, że walczyli w szeregach Armii Krajowej. W sposób niedwuznaczny (choć przetworzony literacko) nawiązuje „Diana” do lubelskich losów autora, jego przyjaciół, kolegów i znajomych.

„Banff” (tytuł został wzięty od nazwy górskiego miasteczka w Kanadzie, gdzie bohater książki spędza kilka dni z przypadkowo poznaną córką swojej

Na dwustu trzydziestu stronicach masywnego pomieszczenia autor trzydziestu szkiców-opowiadań. Gdzie powinna być wydana ta książka? Za granicą czy w kraju? O ile mi wiadomo, Jerzy R. Krzyżanowski chętnie powierzyłby ją któremuś z wydawnictw krajowych.

Na zakończenie jeszcze sprawa pseudonimów postaci występujących w prezentowanym tu rozdziale najnowszej książki J. R. Krzyżanowskiego.

Podchorążym „Szam” ze „Złego znaku” to mieszkający od wielu lat w Anglii Andrzej Chamięc (rodzony brat znanego polskiego aktora teatralnego i filmowego, Krzysztofa Chamca). „Sławek” to Sławomir Żerdzicki, znany śpiewak operowy, wieloletni członek zespołu opery bydgoskiej, a także reżyser teatralny. „Ali” to Czesław Wawruszak; zginął w jakiś czas po rozwiązaniu oddziału „Szarugi”. „Szary” to Ryszard Sadowski, do dzisiaj mieszka w Lublinie, jest już na emeryturze. Goniec „Szarugi”, nie odstępujący go „Jasio-Smajserek”, młody wiejski chłopak, którego matka sama przyprowadziła do oddziału, aby uchronić syna przed niemieckimi represjami, nazywał się Jan Rola; wrócił po wojnie na rodzinną gospodarke; umarł dawno temu. Sierżant „Luśnia” — Józef Kasiak, krawiec z zawodu. Przez ostatnie lata życia prowadził kiosk z kwiatami „u Szarytek”, czyli w Państwowym Szpitalu Klinicznym przy ul. Staszica. Zakończył życie na łóżku szpitalnym dwa lata temu, dokładnie w dniu przybycia do Lublina papieża, Jana Pawła II.

LISTY

„STALIN, BIERUT I »CZARCIA ŁAPA«”

Możemy oczywiście snuć uczone dywagacje na temat stalinizmu i białych plam, ale nie, zmienni to dwóch podstawowych rzeczy, które są dla każdego oczywiste. Po pierwsze — to Bolesław Bierut odpowiedzialny jest za wszystkie zbrodnie, jakie popełnił aparat przemocy z powodów politycznych (i nie tylko, były bowiem także akty zemsty, gwałty, rozboje, kradzieże i wymuszanie okupu — a więc te wszystkie przestępstwa, których dopuszcza się każda policja w każdym kraju, gdy działa w poczuciu całkowitej bezkarności) w tym czasie, gdy stał on u steru państwa. Po drugie — postawiono mu w Lublinie pomnik, a wcześniej nazywano jego imieniem szkoły, ulice, fabryki dlatego, aby jego, Bolesława Bieruta, uczcić, a nie dlatego, że — jak pisze p. Borowski — „był mieszkańcem miasta Lublina”.

Jest to zresztą w zgodzie z wielowiekową tradycją naszej kultury, że pomniki i swoje ulice otrzymują ci, którzy uważani są za najlepszych synów narodu, którzy się temu narodowi i krajowi przysłużyli w sensie pozy-

tywnym, którzy dokonali czegoś wielkiego. Tak jest na całym świecie, tak też było i w Polsce, chociaż trzeba przypomnieć i takie okresy naszej historii, kiedy to nie społeczeństwo budowało pomniki, ale władza sobie samej. Np. obecny Plac Litewski nazywał się w XIX wieku placem Aleksandra I, podczas okupacji hitlerowskiej oczywiście — Adolf Hitler Platz, a w latach 1945—56, jak łatwo zgadnąć, Placem Józefa Stalina.

Te wszystkie nazwy i ich zmiany są naturalnie dokumentami naszej historii, ale jeżeli p. Borowski uważa, że wszystkie pamiętki historyczne należy ochraniać, to może powiedziałby, do której nazwy Placu Litewskiego powinniśmy wrócić? Która jest lepsza, a która gorsza i jakie byłyby kryteria takich ocen?

Jeżeli p. Borowski jest prawdziwym miłośnikiem wszystkich — bez wyjątku — pamiętek historii, to może mi odpowie także, co robił wówczas, gdy niszczone w Polsce pomniki Marszałka Piłsudskiego? Gdzie był, kiedy — niczym najgorsza dziec — niszczone cmentarze żydowskie, a nagrobków używano jako budulca na drogi? Czy upominał się o niszczone po barbarzyńsku cmentarze niemieckie na Ziemiach Odzyskanych? Czy protestował, kiedy z Bramy Krakowskiej zniknęły obrazy?

Domyślam się, gdzie był, gdyż jedno zdanie z jego artykułu bardzo mi coś przypomina. Oto one: „W życiorysie każdego człowieka można znaleźć [...] jakieś kompromitujące szczegóły”. Podobnie brzmi zdanie inne: „Dajcie mi człowieka, a paragraf zawsze się znajdzie”.

Jest to wyjątkowo plugawy sposób myślenia, gdyż zakłada, że wszyscy ludzie są unurzani w błocie, że wszyscy są źli, że każdy ma coś na sumieniu i wystarczy tylko dobrze „przycisnąć” — a człowiek przyniesie do wszystkich. I właśnie pod patronatem Bolesława Bieruta ta obrzydliwa filozofia policyjna święciła swoje najlepsze triumfy. Za taskawym przyzwoleniem „Prezydenta Polski Ludowej” sądy stały się kpiną ze sprawiedliwości, mordowano także bez wyroków (ale coż to za różnica, skoro posłuszny sąd i tak wyrokował zgodnie z poleceniem władzy politycznej?), grabiono dorobek całego życia, wyrzucano ludzi z mieszkań, a dzieciom takich osób broniono dostępu do szkół wyższych. To za jego krótkotrwałych rządów stalinizm w Polsce umocnił się tak dalece, że jeszcze dzisiaj ma się dobrze, czego list p. Borowskiego jest najlepszym dowodem.

Nie sądzę, aby ktoś taki zasługiwał na pomniki, ulice i mógł być patronem szkół i fabryk. Chyba... chyba, że ci,

co o tym decydują, poczuwają się do ideowej wspólnoty z Bierutem i uważają się za kontynuatorów jego dzieła. Ale to trzeba powiedzieć wyraźnie i jednoznacznie.

Toteż dopóki władza polityczna w PRL nie ogłosi stanowiska potępiającego Bieruta i stosowanych przez niego metod rządzenia, wokół tej „debierytyzacji” będzie się unosiła atmosfera niedomówienia, będzie ona niedokończona, niepełna, a my — zwykli ludzie — będziemy się obawiać, że Bolesław Bierut jest dla co niektórych nadal ideałem i wzorem do naśladowania.

Kończąc ten list, chciałbym odpowiedzieć panu Borowskiemu, który zapytuje: „czy ma sens wymazywanie i usuwanie jakichkolwiek faktów z przeszłości?”. Otóż usuwając Bieruta z kontekstu, nie usuwamy go z historii, tak jak przecież usunięcie pamiętek po Hitlerze nie usunęło go z historii. Usunięcie z kontekstu oznacza zdjęcie go z miejsca, na którym znajdować się nie powinien. I tylko to. A w hucie im. Lenina można by było ten wielki postument przetopić na pomnik Ofiar Bieruta.

Stefan Niecko
robotnik-rencista Agrometu
Lublin

Dokończenie na str. 11

ZŁY ZNAK

Jerzy R. Krzyżanowski

TEN rzut odbieraliśmy pod Wołą Gałczowską, jakieś trzydzieści kilometrów na południe od Lublina. Noc była tak niezwykle piękna, jak zdarzyć się to może raz, może dwa razy w życiu — wysoki, pełny księżyc na wielkim i jasnym od gwiazd niebie. Lśniła rosą polana, zanoszona się śpiewem słowików, wokół milczący las i ukryte pod drzewami nasze wozy. I na tle tej bajkowej nocy narastający odgłos lotniczych motorów wydal się niemal okrutnym zakłóceniem jej spokoju, choć dla nas był to dźwięk najważniejszy, na który oczekaliśmy od dawna, na tym bowiem polegała nasza służba.

Skierowaliśmy w to nagle ożywione niebo światełka sygnałowych latarek, ogromny, czarno-srebrny liberator, który wyskoczył znad najbliższych drzew, odpowiedział porozumiewawczym błysnięciem spod kadłuba, po czym pojawił się znowu, tym razem już nieco wolniej, i nagle sygnał rozwijającymi się czaszami spadochronów, o ziemię uderzyły ciężkie kontenery, wychynęły nad wysoką trawę zgarbione sylwetki ludzi, ku którym pobiegliśmy wykrzykując umówione na tę noc hasło.

— Szósty! Gdzie jest szósty? — woła jeden ze zrzutek, gdy stoją już otoczeni przez naszych chłopców, jeszcze nieufni, jeszcze dyszący emocją przelotu i skoku, ale już uśmiechnięci, odprężeni. Okazuje się, że brakuje jednego, jak mówią, najstarszego z całej grupy.

— Szukajcie dokoła polany — komenderuje Szam, który tej nocy dowodzi całą operacją. — Może gdzieś wisi, biedaczek.

Okazuje się, że istotnie wisi, ale wcale nie biedaczek. Gdy ktoś odnajduje zgubę na wysokiej sośnie i oświetla go latarką, w odpowiedzi sły- szą taką wiadomość pod swoim adresem, i to jeszcze popartą szeregiem grózb, że czym prędzej wraca do Szama i melduje:

— Panie podchorąży, znalazłem, ale boję się podejść, bo krzyczy, że mnie zastrzeli jak psa.

Z trudem ściągamy z drzewa starszego pana, który ledwie dotknął stopą polskiej ziemi, ryczy głosem zawodowego zupaka:

— Kto tu, do jasnej cholery, dowodzi tym wojskiem świętej Jadwigi?

A gdy długi, chudy Szam, opięty w spadochroniarski kombinezon z poprzedniego rzutu, melduje się posłusznie rozsierdzonemu cywilowi, ten już łagodniej dodaje:

— Podchorąży! My lecimy przez pół Europy, setki ludzi, tysiące funtów szterlingów angażuje się w tę operację, Niemców też pewnie w okolicy nie brakuje, a tu komenderuje wszystkim... podchorąży?

Szam uśmiecha się skromnie, jest zadowolony i nie wie, co na to odpowiedzieć, w końcu przypomina sobie, jak go uczono w korpusie kadetów i próbując trzasnąć obcasami w mokrej trawie, wykrzykuje:

— Ku chwale ojczyzny, panie... starszy.

Sprawnie, szybko i cicho ładujemy na wozy ciężkie zasobniki, czekamy jeszcze na zapowiedziany drugi samolot, noc zaczyna szarzeć, najwyższy czas „pakować”, usunąć się z miejsca zrzutu, gdzie Niemcy bez wątpienia pojawią się skoro świt. Nasi goście ładują się do wymoszczonych słomą waszątków, zaczynają już krzątać manieiki i papierosy, jedziemy przez ciemny i wyboisty leśny trakt, gdy wtem na którymś z czołowych wozów pyka samotny strzał. Kolumna staje, zeskakujemy, rozglądamy się po krzakach, gotowi bronić naszego zrzutu, naszych zrzutek, z których jeden trzyma się za rozbity przy wyskoku nos, drugi zaś nie może się uspokoić po lądowaniu na drzewie.

Okazuje się, że pech ich nie opuszcza. Jadący na drugim wozie Ali, zaw-

szę łakomy na drobiazgi, jakże udawało mu się wycygnąć od przyby- szów, nie zabezpieczył swego stena i gdy wóz podkoczył na jakimś korzeniu, wpakował kulę w podudzie jednego ze zrzutek. Bandażujemy ran- nego bez zwłoki, ale nie ma mowy o dalszej jeździe, więc Szam decyduje się zamelinować w niedalekiej Kolonii Zaraszowskiej, wychodząc ze słusznego założenia, że tak blisko Niemcy szukać nie będą. Dżiryt, w cywilu prawy dziedzic niedalekiego Gałczowa, a mój starszy kolega jeszcze ze szkoły, zaprasza zdrowych i chętnych na kiełiszek bimbru, reszta oddziału rozkłada się we wsi, gdzie nad ranem wjeżdża naszym czarnym powozem dowódca oddziału, Szaruga, który noc tę spędził z 2 patrolem na daremnym czuwaniu o kilkanaście kilometrów stąd.

— Cholerny świat! — powiada na wieść o wypadku. — Chłop tyli świat przeleciał po to, żebyście go tu eunuchem zrobili? Ali, do raportu!

Ale w nowajcy nie ma. Korzystając z zamieszania, zniknął razem ze Sław- kiem, zameldował tylko Rafałowi, że jedzie po lekarza, wstąpił na konie, i tyle ich widziano. Ta jawna samowola rozłościła naszego dowódcę jeszcze bardziej, dotychczas bowiem odebraliśmy sporo zrzutów i nigdy nie było ani wypadku, ani kłopotów. A w dodatku najstarszy oficer-padochroniarz nie ukrywał swego złego humoru, jakby naszą to było winą, że podarł sobie na

chojaku spodnie i to w wielce nie- przyjemnym miejscu.

Najgorzej jednak kłóli i postrzelony zrzutek. Gdy rankiem poszliśmy go odwiedzić, otwarcie wyraził swoją o nas opinię.

— Byłem pod Krojantami, u Kleber- ga, potem pod Narvikiem i we Fran- cji — mówił leżąc w białej i białej jasnej, czystej chaty — ale takich gówniarzy, co strzelają do swoich, jeszcze nie widziałem. Kury wam macać, a nie z bronią chodzić! I gdzie jest ten, co mnie tak urządził!?

— Panie szanowny — powiedział na to, jak zawsze flegmatyczny Szary. — Nie ma powodu ludzi obrażać. Ciesz się pan, że masz klejnot rodzinny nie uszkodzony, reszta sama się zagoi.

Zrzutek niewiele od nas starszy, spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Pan z Warszawy? — spytał, a gdy Szary kiwnął głową, przyjrzał mu się jeszcze uważniej. — Z jakiej dziel- nicy?

— Ta dzielnica, co była, to się spa- liła — odrzekł stary konspirator, któ- ry właśnie ukończył dziewiętnasty rok życia.

— Pan może z getta?

Szary był ogromnie uczulony na wszelkie sprawy żydowskie, przez trzy lata mieszkał na Bonifraterskiej i wi- dział, co się działo za murami, nigdy o tym nie chciał mówić, toteż tylko odburknął:

— Pilnuj pan swego ptaka, innym w spodnie nie zagląda! — i wyszedł.

Stary Wrona, starszy od każdego z nas, łącznie z rannym, o dobre dzie- sięć lat, powiedział pojednawczo:

— Wypadki się zdarzają. Ot, patrz pan na sierżanta. Po ostatnim rzucie, jak stanęliśmy niedaleko stąd, w Ro- manowie, położył stena na piecu i krok tylko zrobił, a sten buch, o podłogę się cobił i łapę mu przestrzelił.

Luśnia wyszczerzył spod rudego w- sika garnitur srebrnych zębów, z któ- rych był ogromnie dumny, a Wrona ciągnął wskazując z kolan na niego:

— Albo, tu, podchorąży, człowiek zdawałoby się inteligentny, kształcony w szkołach, pistolet parę dni temu czyścił i zapomniał, że każda broń raz do roku sama strzela; jak przez stół wygarnął, to swojemu najbliższemu przyjacielowi, temu, co stąd przed chwilą wyszedł, prosto między nogi strzelił, aż dziw, że mu nie od- strzelił. Tak jak u pana, wypadek.

Ale zanim zrzutek zdążył coś od- powiedzieć, Luśnia wrzasnął tylko: „samochody!” i mimo swych stu kilo żywej wagi frunął przez okno do sadu, już w powietrzu mając wydobyty re- wolwer. Cała scena nie trwała nawet dziesięciu sekund. Wszyscy trzej le- żeliśmy za węglem chaty z bronią skierowaną w stronę drogi, tylko Wrona został przy rannym i ukryty za fran- gą okna wystawiał to jedno oko, to łufę zdobycznego automatu.

Zza zakrętu polnej drogi podnosił się powoli tuman kurzu, wyraźnie sły- chać było, jak ciężko, na niskim biegu pracuje motor auta; mieliśmy dość cza- su, żeby wziąć je na cel. Nim jednak zdolałoby je dostrzec, ponad warkot silnika przebił się znajomy głos Sław- ki:

— Chłopaki, nie strzelać, to my z Ali!

I oto oczom naszym ukazał się za- kurzony mały mercedes 170 V; za kierownicą pysznił się Sławek, podczas gdy Ali, stojąc obok niego, demonstrował najpiękniejszy ze swoich uśmie- chów małomiasteczkowego amanta, pod równą przyszytym wąsikiem.

— Co wy mi tu wyrabiacie, skunwie- le pomure? — wykrzyknął Szaruga, sto- jąc w progu swojej kwatery, uzbrojony w wielkiego colta. Zza pieców wy- glądał mu czujnie Jasio-Smajerek, je- go pocztowy i goniec.

Zgrabnie wyskoczywszy z toczącego się jeszcze wozu, Ali podbiegł do do- wódcy i przybliżył trzy karki w ku- rzu polnej drożki, zameldował służbi- ście:

— Panie poruczniku, kapral Ali przybywa ze zdobyczym autem w ce- lu udzielenia pomocy medycznej ofie- rze wypadku!

Okazało się po chwili, że obaj przed- siębiercy przyjaciele wyruszyli ran- kiem do niedalekiej Bychawy, zostawi- li konie w miejscowej placówce i właśnie zastanawiać się zaczęli, jak by tu skłonić miejscowego lekarza do u- dania się wraz z nimi w nieznaną dal- gdy przed spółdzielnią rolniczą zawar- czono auto, z którego wytoczył się Kreislandwirt, powiatowy niemiecki inspektor rolnictwa, postać w okolicy dobrze znana, ale tolerowana przez konspirację, brał bowiem łapówki na prawo i lewo, nikomu na ogół nie szkodząc. Nim Niemiec zdążył zamknąć drzwi wozu, obaj nasi bohaterowie już podtykali mu pod nos lufy, a Sławek bez słowa wyjął mu z ręki kluczyki, podczas gdy Ali wprawdzie go obmacy- wał, i po chwili zatknął za pas nie- wielki pistolet odebrany przerażonemu podróżnikowi. Ciągłe bez słowa — za- den z nich nie mówił w ogóle po nie- miecku — wskazał mu drzwi spół- dziełni, uprzejmie zasalutowali, i Sław- wek, którzy trzy lata pracował w warsztacie samochodowym, zanim po- szedł do partyzantki, dorwawszy się do wozu wystartował jak na torze wy- ścigowym, z piskiem opon, trąbieniem na całej miasteczko; ogonem spałin ście- lącym się wzdłuż ulicy Sienkiewicza... A po pół godzinie byli już w Kolonii Zaraszowskiej, skąd odtransportowali zdumionego takim luksusami zrzutka do Lublina, w zaufane ręce doktor Litwiniukowej, która niejednego już z nas ratowała w trudnych chwilach.

Zdawało się, że pech został zażegna- ny, a wszelkie złe znaki towarzyszące temu zrzutowi z 5 maja 1944 r. były tylko zwykłym przesądem, jaki chętnie przyjmują ludzie ustawicznie ży- jący za pan brat z niebezpieczeństwem.

I dopiero po wielu latach dowiedzie- liśmy się, że ranny wówczas zrzutek, podporucznik Adam Dąbrowski, poległ w cztery miesiące później, przysypany gruzami gmachu PKO podczas powsta- nia warszawskiego. Tak widać było mu sędzone.

Wspomnienie „Zły znak” zostało po- raz pierwszy opublikowane na łamach nowojarskiego „Nowego Dziennika” (nr 4190 z 4 czerwca 1987 r.).



Kwiecień — maj 1944, okolice Bychawy. W powozie — „zdoby- tym” na lubelskim staroście — siedzi dowódca oddziału „Szaruga” (w czapce „polowce”), na koźle — „Szam”; za powozem stoi „Lu- śnia”.

Repr. Waldemar Stępień

ZAMACH MAJOWY: KONIEC DEMOKRACJI CZY PRÓBA RATOWANIA PAŃSTWA?

Dokończenie ze str. 1

czego Daszyńskiego, który zagroził członkom PPS karami partyjnymi w razie wzięcia udziału w tej imprezie.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Nie tak całkiem, bo Piłsudski też się temu sprzeciwił. Rozgrywało się to jakby poza jego wolą i wiedzą.

EMIL HOROCH: — Czy sprzeciwiał się autentycznie, czy była to tylko niepewność co do rozegrania tej karty? Możemy to samo odnieść i do drugiej próby — wydarzeń z jesieni 1923 roku w Krakowie, kiedy to wśród uczestników zbrojnych starć z policją odnajdujemy również zwolenników Marszałka, m. in. członków „Strzelca”. Wtedy Piłsudzycy parli do konfrontacji, do wykorzystania tych wydarzeń. I znów władze PPS odmówiły swego poparcia, obawiając się zamachu na ustroj parlamentarny.

„RELACJE”: — Ten ustroj, który Piłsudski stworzył, a który go jednocześnie ograniczał, czyż nie?

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Nie jestem przekonany, czy sam Piłsudski właśnie stworzył podwaliny tego systemu. Raczej odbyło się to obok niego.

EMIL HOROCH: — Ale w ówczesnym kształcie parlamentarnej demokracji trzeba szukać genetyczny przewrót majowy. Bo coż to był za system? Polska, która powstała po I wojnie światowej, ta Polska, która była ziszczeniem marzeń o wolności i miała rozwiązać wszelkie problemy, okazała się państwem targanym wieloma kryzysami wewnętrznymi. Ówczesna demokracja polska jest to parlamentaryzm świeżej daty, parlamentaryzm uliczny, kaleki. W kolejnych sejmach, aż do 1926 roku, brakuje silnej większości parlamentarnej, rządy upadają jeden po drugim. Najdłuższy przetrwał rząd Grabowskiego, lecz był to gabinet pozaparlamentarny. Najkrótszy był żywot ekipy Witosa — 10 dni zakończonych przewrót majowy. Brakuje nie tylko silnej większości w parlamencie, ale także — co za tym idzie — silnej władzy wykonawczej. Konstytucja marcową tak usytuowała w systemie władzy instytucję prezydenta, że przestał on właściwie odgrywać jakąkolwiek rolę polityczną. Sądzę, iż zdecydowała tu obawa o decyzję, że Piłsudski może na ten urząd kandydować.

„RELACJE”: — Tyle, że władza tak ograniczona nie interesowała Marszałka...

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Tak, to prawda. On nie chciał takiej władzy i w takim układzie politycznym. W ogóle, mówiąc o przyczynach zamachu majowego, musimy mieć na uwadze dwa elementy, które legły u jego podstaw. Pierwszy — poruszony już w wypowiedzi dr. Horocha — to kryzys parlamentaryzmu. Polski parlament był odbiciem społeczeństwa, które nie dorastało w normalnej atmosferze politycznej, znajdowało się na niskim poziomie kultury politycznej. Sądzę też, że partie, organizacje polityczne wnoszące do propagandy dużą dozę demagogii, zdobywały wśród szerokich warstw wyborców znaczny posłuch i poparcie. Tymczasem, później, w Sejmie nie sposób było utworzyć trwałej większości i stabilnego gabinetu.

Parlament, i to trzeba jasno powiedzieć, egzekwował nie tylko — przysługującą mu z mocy Konstytucji — władzę ustawodawczą, ale także i władzę wykonawczą. Nieszczęście polegało na tym, że ten parlament obradował ciągle, w permanencji. Z pewną przesadą można by powiedzieć, że tak jak uczniowie przychodzili do szkoły, tak posłowie uczęszczali na Walejską. Zasiadali, deliberowali o marginaliach, stosowali obstrukcję, a rząd nie mógł pracować. Wywoływało to raz po raz kryzysy gabinetowe. Oczywiście, na całym świecie upadki rządów, nowe koalicje są dziś rzeczą normalną (choćby w Włoszech), ale były absolutnie nienormalne przy młodym ustroju państwowym, niedorozwoju gospodarczym i słabej pozycji prezydenta państwa.

bezsilnego wobec toczących się wydarzeń. Parlament — i to słusznie podnosił Piłsudski — paraliżował nie tylko poczynania rządu, ale również administracji terenowej. Immunitet parlamentarny był tak szeroki, że teoretycy prawa często nazywali go bezkarnością. Często interwencje poselskie powodowały zamieszanie, dezorganizację pracy administracji terenowej; urzędnicy — wojewodowie, a zwłaszcza starostowie — obawiali się posłów, którzy mogli ich „zdjąć”.

Drugą przyczyną sprawczą wydarzeń majowych była trudna do pojęcia nienawiść obozu prawicy, przede wszystkim endecji, do osoby Piłsudskiego. Można oczywiście powiedzieć w tym miejscu, że antagonizmy między partiami politycznymi są rzeczą również normalną. Wynikają z odmiennych orientacji politycznych, różnic doktrynalnych i taktycznych, a zatem czymś oczywistym wydaje się zwalczanie poglądów przeciwnych. Jednakże w tym przypadku nienawiść prawicy do Piłsudskiego przechodziła wszelkie granice rozsądku, przybierając charakter patologiczny. Była to jakby fobia wobec tyrańca sprawującego absolutną władzę. Tymczasem nawet w okresie sprawowania przez Piłsudskiego stanowiska Naczelnika Państwa jego prerogatywy były faktycznie niewielkie, gdyż zagarnął je Sejm.

EMIL HOROCH: — No, niezupełnie. W sytuacji, gdy nie zawiązał się jeszcze Sejm Ustawodawczy, a Piłsudski sprawował dwie najwyższe funkcje — Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa — był praktycznie dyktatorem. Potem, po pierwszych wyborach w 1919 roku, Sejm też mu się zbytnio do władzy nie wtrącał.

WALDEMAR KOZYRA: — Tak zwana Mała Konstytucja z lutego 1919 roku praktycznie pozbawiała Tymczasowego Naczelnika Państwa uprawnień dyktatorskich, jakie posiadał od listopada 1918 roku.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — On te uprawnienia sam złożył, powołując Sejm Ustawodawczy.

WALDEMAR KOZYRA: — Owszem, pozostał de iure tytułarną głową państwa i zwierzchnikiem armii. De facto jednak, z racji okoliczności tworzenia się państwa, nastąpiło zasadnicze odcięcie od rozwiązań ustawodawczych na rzecz praktyki sprawowania władzy, i Piłsudski zachował decydujący wpływ na wojsko, politykę zagraniczną i szereg jeszcze innych dziedzin. Odizolował Sejm od tych zagadnień. Można mówić o dualizmie władzy sejmowo-naczelnikowskiej w latach 1919—22. Dopiero po kolejnych wyborach w 1922 roku Piłsudski zostaje wyeliminowany jako współczynnik władzy, nastaje sejmokracja.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Tak, tylko że to nie tłumaczy źródeł nienawiści prawicy do Marszałka. W końcu był to Naczelnik Wódz, zwycięski wódz, najwybitniejszy współtwórca niepodległego bytu i byłoby rzeczą raczej oczywistą traktować go jako głowę państwa. Tymczasem ta fobia przybierała niekiedy zoologiczne formy. Choćby wyłączenie mu zarzutu przywłaszczenia dla swoich córek insygniów królewskich. Idiotyczna bzdura! I to nie było tak, moim panowie, że jedna pani drugiej pani coś powiedziała... To były interpelacje poselskie, artykuły w prasie i powołanie specjalnej komisji do wyjaśnienia „sprawy”. Z kolei po jej wywołaniu się do Sulejówka usiłowano mu odebrać autorstwo zwycięstwa w bitwie warszawskiej i zasługi militarne w wojnie 1920 roku. Naczelnik był „flekowany” na każdym właściwym „flekowaniu” — legionowych i wojennych pseudonimów, pp. Biernacki — Dąb, Skrzyński — Kmicie itd. Pomysł ten pozostał tylko projektem, ale pozostała również po przeciwnej stronie zapieczona uraza i poczucie zagrożenia.

Czy Piłsudski był żądny władzy? Nie jestem pewien. Był człowiekiem ambitnym, chciał odegrać swoją rolę polityczną. Moim zdaniem jednak, korzystał z władzy z umiarem. Widać to ra-

równy w okresie naczelnikowskim, jak i po zamachu majowym. Piłsudski pragnął powrotu do wojska i życia publicznego, ale na pewnych, określonych zasadach. Nie zgodził się na podporządkowanie armii cywilnej władzy, jak domagała się tego endecja, i nie godził się z niedomogami funkcjonowania systemu parlamentarnego, o których tu mówiliśmy. Ustrój parlamentarny, wspaniała konstrukcja ustawowa, nie sprawdził się w praktyce polskiej.

„RELACJE”: — Może raczej w ówczesnych polskich realiach. W takim kształcie. Tu pytanie: czy Piłsudski był wrogiem parlamentaryzmu jako takiego, czy też atakował formy, w jakich ukształtowała się demokracja parlamentarna w Polsce?

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Piłsudski wrogiem parlamentaryzmu nie był, czego najlepszym dowodem jest to, że mając w ręku absolutną władzę dyktatorską, zwołał jednak Sejm Ustawodawczy — ze świadomością samoo ograniczenia politycznego. Był natomiast przeciwnikiem usurpowania sobie przez parlament praw, które do niego nie należały. I to jest istota problemu!

EMIL HOROCH: — Mam odmienną opinię. Jego stosunek do parlamentu przechodził różne fazy. W początkach 1919 roku Piłsudski uważał, że parlament jest niezbędny jako atrybut rodzącego się państwa, że stawia Polskę w rzędzie państw europejskich. Po zamachu majowym również utrzymuje parlament, ale dlaczego? Dlatego, iż ten parlament wybiera go prezydentem...

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Czego on nie przyjmuje!

EMIL HOROCH: — ...Czego nie przyjmuje, ale jest mu to potrzebne, ponieważ legitymuje jego zamach. Czyż nie go z zamachowca przedstawicielem legalnej władzy.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Ależ on wcale nie był powien, czy zostanie wybrany!

EMIL HOROCH: — Jak to nie był?! W parlamencie miał z jednej strony — większość lewicowo-centrową, popierającą jego uzurpację, a z drugiej — zastraszoną prawicę. Liczyli się przecież fakty dokonane.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Ciekawe! Skoro jeszcze parę tygodni wcześniej ten sam sejm dał mandat zaufania gabinetowi Witosa. Profesor Andrzej Garlicki w polemice z profesorem Antonim Czubińskim twierdzi, że sprawa wyboru Piłsudskiego na prezydenta wcale nie była przesądzona. A sam wybór był przecież najzupełniej legalny bez żadnych nacisków.

EMIL HOROCH: — Nie było nacisków?! A przejęcie władzy siłą i jednostki Piłsudskiego w Warszawie to coż innego jak presja? Utworzenie w 1928 roku Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, własnego stronnictwa politycznego, poddyktowane było chęcią przejęcia kontroli nad parlamentem, ubezwłasnowolnienia go. Udało się to po pomyślnym brzeskim w 1930 roku i przeforsowaniu Konstytucji Kwieceniowej w roku 1935.

JOZEF DUDA: — W moim przekonaniu Piłsudski ratował parlament przewrót majowy. Istniały przecież uzasadnione obawy lewicy przed zamachem sił prawicowych. Prawica miała takie zamiary i chciała pójść znacznie dalej. Ba! Już po zamachu podsuwała Piłsudskiemu myśl, by znacznie rozszerzyć nowelę sierpniową [ustawa z dn. 2 sierpnia 1926 o zmianie Konstytucji — przyp. red.] i Piłsudski się nie zgodził. Nie chciał dalszego ograniczania uprawnień parlamentu. A więc jawi się jednak jako rzecznik parlamentaryzmu, demokracji (prawiejszej, odpowiedzialniejszej, ale jednak) — demokracji.

EMIL HOROCH: — To już raczej nie ratowanie parlamentu, tylko państwa!

WALDEMAR KOZYRA: — Moim zdaniem, nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie o stosunek Piłsudskiego do parlamentaryzmu, jak nie można jednoznacznie określić jego poglądów politycznych. Kim innym jest Piłsudski z okresu PPS-owskiego, kim

innym zaś ten z roku 1918 czy 1926. Osobiście uważam, że Piłsudski był demokratą, a to nie zawsze oznacza przywiązanie do parlamentaryzmu. Powiedziałbym nawet słabiej — był człowiekiem o skłonnościach demokratycznych, przejawiał swoistą nostalgicę za ustawianiem społeczeństwa na płaszczyźnie demokratycznej. Weźmy rok 1934 i dyskusję nad Konstytucją Kwieceniową. Walery Sławek chce wówczas powołać Legion Zasłużonych, zmienić ordynację wyborczą, zlikwidować równe wybory. Marszałek przeciwnie te pomysły, gdyż uważa, że byłoby to uderzenie w samą demokrację, w możliwość uczestnictwa w życiu politycznym każdego obywatela.

„RELACJE”: — Wydaje się, że jak dotąd, szukamy diagnozy przewrotu majowego. I chyba określiliśmy już przyczyny, które się nań złożyły. Proponuję, byśmy spróbowali teraz podyskutować o tym, co działo się w Polsce po maju i dalej, w głąb lat trzydziestych. Jak ewoluował system polityczny i jak prezentował się na tle ówczesnej Europy?

WALDEMAR KOZYRA: — Właśnie o tym chciałem powiedzieć. Lata trzydzieste przynoszą „modę” na tendencje i koncepcje elitaryzmu i totalitaryzmu. Na tendencje ewidentnie antydemokratyczne. I o ile współpracownicy Marszałka szli za tą swoistą „modą”, o tyle on sam był powściągliwy. Przypuszczam, że swoimi tęsknotami demokratycznymi tkwił jeszcze w poprzedniej epoce. Nawet wtedy, gdy odchodził od demokracji, od parlamentaryzmu, nie zerwał nigdy związków z demokratyzmem. Natomiast wydaje się, że był antyparlamentarzystą.

EMIL HOROCH: — Bez wątpienia!
ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Chciał tylko sprowadzenia parlamentu do właściwego wymiaru i właściwych funkcji.

JOZEF DUDA: — A czy mógł w ogóle ten parlament normalnie funkcjonować? W warunkach ciągłych naprzemiennych ataków lewicy i prawicy, ostrej konkurencji politycznej, sprzeczności nie do pogodzenia między partiami?

WALDEMAR KOZYRA: — De facto w 1923 roku wszystkie stronnictwa od lewicy do prawicy — uważały, że system polityczny oparty na Konstytucji Marcowej jest nieadekwatny do rzeczywistości i należy go zmienić. To było bezdyskusyjne! Dyskusje toczyły się wokół tego, jak go zmienić. Były projekty endecji — pisze o tym Andrzej Micewski — by Władysława Sikorskiego uczynić Wodzem Naczelnym i przeprowadzić szereg ustaw, zamykając działalność Sejmu. Paradoksalne, ale ich projekty zmian znalazły właśnie odzwierciedlenie w noweli sierpniowej.

EMIL HOROCH: — Spójrzmy na układ polityczny, jaki zaistniał w Europie po I wojnie światowej. Mamy w nim — z jednej strony — państwa o ukształtowanych tradycjach demokratycznych, jak Francja oraz — z drugiej strony — mamy młode republiki powstałe w wyniku wojny — Polskę, Finlandię czy republiki nadbałtyckie, i w tych drugich krajach parlamentaryzm jest bardzo słaby, niedojrzały i rzecz ciekawa, że przechodzą one — w krótszym, lub dłuższym czasie — metamorfozę: od parlamentaryzmu do rządów dyktatorskich, autorytarnych, a nawet faszystujących.

Demokracja polska okazała się kaleką, słaba, nie potrafiła wyważyć właściwych proporcji między ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Ta ulonna demokracja została porzeczona na ulicach Warszawy w maju 1926 roku i przyniosła dyktaturę Piłsudskiego. Z kolei jednak Piłsudski był dyktatorem anachronicznym, odwołującym się do XIX-wiecznych wzorów, podczas gdy świat, a z nim Polska wkraczały w zupełnie inną epokę.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — We mnie ten termin budzi zdecydowany sprzeciw. Jeśli uznamy takie pojęcia, jak godność, odpowiedzialność, niepodległość, które Piłsudski uosabiał i które pragnął do praktyki politycznej wprowadzić, za anachroniczne to ja się zżadam, że był anachroniczny. Tylko że on akurat myślał bardzo nowoczesnie. Zachowywał się przecież dokumen-



Józef Duda

ty świadczące o bardzo głębokim prze-miślowaniu wielu koncepcji i decyzji, o jego umiejętności przewidywania. Odwołam się do jednego tylko przykładu. Otóż Piłsudski miał jakoby kochać się w kawalerii, nie dostrzegając znaczenia broni pancerniej czy lotnictwa etc. Tymczasem badania prowadzone przez dr. Janusza Odziemkowskiego z Warszawy świadczą o czymś — dokładnie przeciwnym. Piłsudski znał i rozumiał wagę broni pancerniej, tyle że chciał, by produkowano ją w kraju, a nie sprowadzano z Francji. W wielu sprawach Marszałek myślał nader nowocześnie. W odnalezionych niedawno zapiskach Kazimierza Świątkowskiego można przeczytać, jak cenne uwagi przekazywał mu Piłsudski po objęciu przez tego pierwszego teki ministra wyznań i oświecenia publicznego. Jakżeż one były dostosowane do autentycznych potrzeb roku 1929!

EMIL HOROCH: — Panie Zbigniewie! Ja nie uważam, by te wartości, jak: honor czy patriotyzm, miały być anachroniczne! Nie o to mi chodziło. Anachronizm dotyczy systemu rządzenia, sposobów tworzenia nowoczesnego państwa. Czy Piłsudski miał koncepcję takiego państwa? Wątpię.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Przed 1926 rokiem w Sejmie niczego nie dało się przeprowadzić. Czekala na ujednolicenie kodyfikacja prawa z czterema kodeksami karnymi odziedziczonymi po zaborcach, ustawodawstwo stowarzyszeniowe i socjalne. Wszystko było blokowane przez spory między-partyjne. Dopiero po maju, dzięki noweli sierpniowej, załatwiły to dekrety prezydenta.

JÓZEF DUDA: — Jego programem była właśnie sanacja — naprawa Rzeczypospolitej przez dokonanie korekty systemu politycznego bez naruszania jego podstaw. Czynnikiem stabilizującym miał być prezydent. Wracając jednak do zagadnienia „demokracji kalekiej”. Uważam, że system parlamentarny stworzony na progu II Rzeczypospolitej był „laboratoryjnie” doskonały, choć nie sprawdzał się w realnych warunkach. Jednak to nie czynniki obiektywne przesądziły o ułomności tego systemu, ale niedojrzałość stronnictw i ich liderów, zmierzających do osiągnięcia maksimum własnych celów, zaspokojenia ambicji kosztem interesu zbiorowego. Ewentualnym tego przykładem jest dla mnie endecja, która od początku traktuje parlamentaryzm i demokrację jako narzędzie zdobywania silnej, autorytarnej władzy. Nie udało się i stąd wszystkie późniejsze ataki na Piłsudskiego.

„RELACJE”: — No, to znaczy, że można by wyciągnąć paradoksalny wniosek, iż gdyby endecja miała w swoich szeregach Piłsudskiego, to byłaby czynnikiem nowoczesnym.

JÓZEF DUDA: — Myślę, że nie.

EMIL HOROCH: — Na pewno nie. I nie było to nawet możliwe. Drogi Piłsudskiego i Dmowskiego rozchodziły się kilkakrotnie, przepaść między nimi otworzyła się w 1918 roku, kiedy Piłsudski przejął władzę. Sięgnął po nią jako pierwszy, Dmowski i endecja spóźnili się... W maju 1926 roku spóźnili się po raz drugi. Marszałek był znów szybszy.



Emil Horoch

JÓZEF DUDA: — A czy mogło być inaczej? Czy ktoś miał koncepcję lepszą od niego?

EMIL HOROCH: — Widziałbym taką koncepcję w programach Polskiej Partii Socjalistycznej, sformułowaną przez Perla, Niedziałkowskiego czy Próchnika. Program Piłsudskiego? Przecież on nigdy swojego programu nie przedstawił. Ani w jego wystąpieniach publicznych, ani w jego dziełach nie znajdziemy spójnego, konkretnego programu działania.

„RELACJE”: — Zauważam u panów, choć nie u wszystkich, uznanie okresu pomajowego za kontynuację demokracji, choć zmodyfikowanej czy też skorygowanej. Tymczasem nie brak zarzutów co do jej dławienia przez piłsudczyków. Argumenty, jakie są w takim przypadku wysuwane, to m. in. nowela sierpniowa, najścia oficerów na Sejm czy też wreszcie osadzenie posłów opozycyjnych w twierdzy brzeskiej i ich późniejszy proces.

JÓZEF DUDA: — Porównania do współczesności są dla historyka zawsze dość ryzykowne, ale czasami pouczające. Jeśli spojrzymy na naszą obecną ordynację wyborczą, to okaże się na przykład, iż Konstytucja Kwietniowa nie była takim znów dławieniem demokracji.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Twierdzą, choć wiem, że jest to z trudem przelykane przez wielu publicystów, że Polska po zamachu majowym była krajem demokratycznym. Istniała legalna opozycja i miała ona możliwości działania — niecierpiwianą prasę, swobodę wyboru przedstawicieli do Sejmu, swobodę zgromadzeń, tworzenia własnych organizacji charytatywnych, sportowych itd.

WALDEMAR KOZYRA: — Przede wszystkim nie były ograniczone wolności obywatelskie. Co prawda ustawodawstwo z lat 1932—34 ograniczyło nieco swobodę działania opozycji, ale jej nie uniemożliwiło. Taka na przykład, uznawana za kontrowersyjną, ustawa o szkolnictwie wyższym, dziś uznana byłaby za zadowalającą. To samo dotyczy organizacji władzy sądowniczej i samorządów.

Wracając do naszego zasadniczego pytania, trzeba podkreślić jedną rzecz: praktyka polskiej demokracji była pewnym przegięciem nawet wobec tak demokratycznej ustawy zasadniczej, jak Konstytucja Marcowa. Była hiperdemokracją, sejmokracją. Wszyscy się godzili z takim osadem i Piłsudski inteligentnie podsunął swój sanacyjny program, pod który każde z ugrupowań podstawiało własną wizję zmian. Bo wszyscy wiedzieli, że dalej tak być nie może. Kryzys opanował wszystkie sfery życia, może jedynie gospodarka była nim mniej dotknięta, państwo wychodziło wtedy z zastój ekonomicznego.

JÓZEF DUDA: — Stan gospodarki polskiej na początku 1926 roku nie rokował dobrych nadziei. Spadała wartość złotego i wydawało się, że powrót do czasów inflacyjnych jest nieunikniony. Zmniejszyła się produkcja w górnictwie i hutnictwie, przy równoczesnym szybkim wzroście bezrobocia. Na pogorszenie sytuacji w prze-



Waldemar Kozyra

myśle wpłynęła zapoczątkowana w drugim półroczu 1925 roku wojna celna z Niemcami.

Nie wnioskuję tu w przyczynę tych trudności gospodarczych — było ich wiele. Obóz sanacji musiał jednak wziąć także na siebie brzemień naprawy gospodarczej, co wymagało opracowania odpowiedniego programu ekonomicznego. Niektórzy historycy zarzucają sanacji, że takiego programu bezpośrednio po przewrocie nie było, a w najbliższym otoczeniu Piłsudskiego brakowało wybitnych ekonomistów — teoretyków, jak i działaczy gospodarczych.

Programu naprawy gospodarczej Rzeczypospolitej Piłsudski i jego otoczenie nie posiadali przed przewrotem, bo nie posiadali planu samego przewrotu. Natomiast po maju w gabinecie premiera Kazimierza Bartla znaleźli się wybitni ekonomiści i działacze gospodarczy, wśród nich Eugeniusz Kwiatkowski — minister przemysłu i handlu, twórca dalekowszeregowego, długofalowego programu gospodarczego. W swym exposé, jeszcze w 1926 roku na czoło zagadnień bieżących wysunął potrzebę wzmożenia produkcji przemysłowej i jej potaniaenia, a więc uczenia rentowną.

Kwiatkowski bardzo ostro występował przeciwko nadmiernej ingerencji państwa w życie gospodarcze. Twierdził, że rozwój przemysłu musi odbywać się w harmonii z postępem i rozwojem innych czynników gospodarczych — przede wszystkim rolnictwa. Nawoływał do przyciągania kapitału zagranicznego do kraju. Szczególną wagę przywiązywał do działalności Izby Przemysłowo-Handlowych, które przez odpowiednią ustawę broniłyby przed biurokracją państwową interesów sfer handlowych i przemysłowych. Rozbudowa i unifikacja Izby Przemysłowo-Handlowych pozwoliłaby na realizację pełnego samorządu gospodarczego.

Sam premier Bartel w swym exposé z 19 lipca 1926 roku oświadczył, iż racjonalizację produkcji należy rozpocząć od organizacji Instytutu Badania Cen i Kosztów Własnych, placówki naukowo-informacyjnej oraz opracowania ustaw o Izbach Przemysłowo-Handlowych. Za jeden z głównych celów polityki gospodarczej uważał zharmonizowanie produkcji przemysłowej i rolniczej.

W centrum uwagi rządu Bartla znalazły się sprawy budżetowe i walutowe. Od początku starano się wprowadzić równowagę budżetową i stabilizację złotego. Zdaniem Bartla, równowaga ta — to nie tylko sanacja życia gospodarczego, ale i podstawa zaufania zagranicy, a więc możliwość stworzenia programu kredytowego i inwestycyjnego.

Dość szybko udało się rządowi zrównoważyć budżet, a we wrześniu 1926 roku ustabilizowano kurs złotego na poziomie 8,9 zł za jednego dolara. Pierwsze kredyty zagraniczne wpłynęły już w lipcu 1923 roku. Na skutek ożywienia inwestycyjnego malało bezrobocie i rosły płace realne. Znacznie zwiększyło się tempo budownictwa mieszkaniowego. Parcelacja ziemi przekraczała roczne normy, przewidziane ustawą o reformie rolnej.

Robotnicy uzyskali nowe uprawnienia socjalne dzięki rozszerzeniu zakresu działania i uprawnień Inspekcji



Zbigniew Zaporowski

Pracy i rozbudowanie ubezpieczeń społecznych.

Piłsudski osobiście nie zajmował się sprawami gospodarczymi, mając wybitnych specjalistów w tej dziedzinie. Jednak jego szczególną troską, bezpośrednio po przewrocie majowym, było jak najszybsze uchwalenie zrównoważonego preliminarza budżetowego, co jak pisze Kwiatkowski, przeprowadził w mistrzowski sposób. Jeśli zatem piłsudczycy nie mieli gotowego programu w chwili zamachu, to potrafili ten program bardzo szybko stworzyć.

„RELACJE”: — Wiemy oczywiście wszyscy, że historia nie jest „magistra vitae”. Spróbujmy się jednak zastanowić nad implikacjami zamachu majowego dla dzisiejszej rzeczywistości politycznej. Czy z pomajowych następstw płyną dla nas jakieś nauki.

JÓZEF DUDA: — Nasuwa się smutna refleksja, iż to, co dla Drugiej Rzeczypospolitej było milowym krokiem od demokracji, dziś jest dla nas jeszcze nieosiągalne. Mimo że dość powszechnie uważa się, iż uczyniliśmy ogromny krok ku demokracji. Mam nadzieję, że zrobione zostaną i następne. Byśmy mogli osiągnąć poziom demokracji przynajmniej z czasów noweli sierpniowej.

ZBIGNIEW ZAPOROWSKI: — Ja nie widzę żadnych związków. Są to tak odległe czasy, że wszelkie odniesienia stają się ryzykowne, a nawet niebezpieczne.

EMIL HOROCH: — Mówiąc o parlamentarystyce, demokracji, jej dławieniu i przywracaniu, odwołam się do starej monteskiusowskiej zasady trójpodzielności władzy. W powrocie do tej zasady... Chodzi o to, by żaden z członów tej władzy nie osiągnął przewagi nad pozostałymi, aby były to elementy suwerenne wobec siebie. I to jest wniosek z przeszłości, choć dosłownie nic się nie powtarza.

WALDEMAR KOZYRA: — Nie ma bezpośrednich związków wydarzeń historycznych z teraźniejszością, ale związki pośrednie istnieją i są wielorakie — historia daje nam pewne doświadczenia na temat organizacji i funkcjonowania państwa, kształtowania modelu demokracji. Parlamentaryzm dwudziestolecia międzywojennego jest czymś zupełnie różnym od obecnego systemu politycznego, jak różne były warunki II Rzeczypospolitej i PRL. Ale pewne wnioski i nauki możemy próbować wyciągnąć. Przekonuje mnie to, co mówił dr Horoch o potrzebie wewnętrznej harmonii w trójpodzielnym systemie władzy.

„RELACJE”: — Sądzę, że harmonia i umiar w korzystaniu z władzy są podstawowym warunkiem stabilności systemu politycznego. Nawet idealna demokracja może zostać nadużyta i wykoślawiona. Przestrzegaj przed tym Alexis de Tocqueville, stawiając nad rządy większości i vox populi, rządy prawa. Tego i nam chyba dziś potrzeba. Dziękuję panom za rozmowę.

Spisał i podał do druku:
Leszek Wiśniewski

Fot. Waldemar Stępień

SA na świecie kraje, gdzie każdy może sprzedać wszystko po takiej cenie, po jakiej ma ochotę. Dyrektorem przedsiębiorstw nie snią się po nocach kontrole ujawniające „nieuzasadniony wzrost cen” ani też oskarżenia o „praktyki monopolistyczne”. Rzesze urzędników i ekspertów nie muszą zastanawiać się nad tym, jaka powinna być prawidłowa cena cementu, nikt też nie „kalkuluje” ceny każdego ze stu pięćdziesięciu pięciu gatunków trzewików młodzieżowych. Przedsiębiorcy nie trwonią swojego czasu na obmyślanie sposobów uzyskania zgody w ministerstwie na podwyższenie ceny. Zamiast tego, obmyślają sposoby... obniżenia kosztów i cen w celu przejścia rynku od mniej efektywnych kolegów. Z pożytkiem dla społeczeństwa.

Jednocześnie w większości tych samych krajów ogólny poziom cen wzrasta średniorocznie z tempem poniżej 5 proc., w niektórych oscyluje około zera, a są także regiony kuli ziemskiej, gdzie ceny wręcz spadają.

Wolne ceny nie mają nic wspólnego z inflacją lub, formułując to inaczej: to nie brak kontroli cen powoduje inflację i wywołuje spadek siły nabywczej pieniądza.

Wniosek ten pozostaje niemalże na poziomie potocznej myślenia: najprostszą metodą przekonania się o prawdziwości powyższego jest udanie się do najbliższego miejsca, położonego poza krainą realnego socjalizmu.

Teza o braku związku między wolnymi cenami a powstawaniem inflacji jest tak banalna i tak oczywista w świetle elementarnej teorii ekonomicznej, że trudno podejrzewać jakiegokolwiek fachowca o brak wiedzy na ten temat. Mimo to powoływano się u nas na zagrożenie inflacyjne powraca u poręczym, ilekroć ktokolwiek odważy się wspomnieć o wolnych cenach.

Tak było w przypadku dyskusji „okrągłego stołu” o „urynkowienie” sprzedaży żywności „Urynkowanie” ugrzęzło i rozmyło się wśród deklaracji o „okresowym wprowadzaniu cen maksymalnych” żywności (w celu ochrony konsumentów) i (kilka punktów dalej) „systemu gwarantowanych cen minimalnych na podstawowe produkty rolne oraz stosowania ograniczeń cenowych wobec tych wytwórców środków produkcji dla rolnictwa, którzy mają pozycję monopolistyczną” (w celu ochrony rolników).

Przez z górą czterdzieści lat ofiarne rzesze urzędników i ekspertów chroniły robotników przed rolnikami, a rolników przed robotnikami, kontrolując zarówno ceny sprzedaży przemysłowych środków dla rolnictwa, jak i ceny żywności. Stanowisko ekonomiczne wypracowane wspólnie przy „okrągłym stole” potwierdziło ten sojusz „robotniczo-chłopski”, choć — dodajmy obiektywnie — poszerzyło jego bazę społeczną o kilku nowych ekspertów.

DLACZEGO jednak nie być konstruktywnym i nie przestać mieć za złe? Jakże jest uzasadnienie

ekonomicznej opcji na rzecz wolnych cen (napisałbym: „opcji na rzecz rynku”, gdyby nie fakt, że od przynajmniej czasu wszyscy zostali zwolennikami „urynkowania”)?

Zanim spróbuję odpowiedzieć wprost na te pytania, jeszcze słów kilka na temat inflacji. Jeżeli nie z wolnych

nie mających pokrycia w towarze złożeń? Inaczej mówiąc: dlaczego państwo wydaje więcej, niż zbiera w formie podatków?

W gospodarce socjalistycznej głoszona była tradycyjnie doktryna „pasywnej roli pieniądza”. Oznaczało to, że jeżeli jakieś przedsiębiorstwo miało szansę zwiększenia produkcji zgodnie

PIERWSZY KROK:

Tomasz Mickiewicz

cen, to skąd bierą się nekające nas podwyżki?

Słowo inflacja pochodzi od łacińskiego „inflatio”, czyli „nadęcie”. To „nadęcie”, czy też „rozdęcie”, dotyczy ilości pieniądza znajdującego się w obiegu. Przeprowadzane wielokrotnie badania ekonometryczne wskazują na związek, jaki występuje pomiędzy ilością pieniądza a wzrostem poziomu cen. Zwiększenie ilości pieniądza w obiegu powoduje wzrost cen, który ujawnia się z reguły z opóźnieniem (sięgającym do półtora roku).

Nieporozumienia związane z inflacją biorą się częściowo z braku rozróżnienia pomiędzy „inflacją otwartą” (wzrost ogólnego poziomu cen dóbr i usług) a „inflacją ukrytą” (wzrost nierównowagi rynkowej). Ta druga postać jest zjawiskiem specyficznym dla gospodarki socjalistycznej. W przypadku inflacji otwartej za nasze 10 000 zł możemy kupić mniej towarów, ponieważ są one droższe. W przypadku inflacji ukrytej („hamowanej”) też za nasze pieniądze kupimy przeciętnie mniej towarów, ponieważ część pieniędzy zostanie nam w kieszeni w postaci oszczędności przymusowych (bardziej przedsiębiorcy zamieniają je na „towar”, którego wartość nie spada wraz z naszą inflacją: dolar USA). Mimo tych różnic przy obu postaciach inflacji (otwartej i hamowanej) występuje jednak jej główna cecha definitywna: spadek siły nabywczej pieniądza.

Twórcami inflacji nie są, bo nie mogą być, piętnowani w publikacjach: spekulanci, babcia sprzedająca kwiaty na bazarze, firma polonijna czy też dyrektor „Polcoloru”. Nikt z nich bowiem nie produkuje nowych pieniędzy. Ten ostatni przywilej pozostaje wyłącznie w gestii władz centralnych.

Nowe pieniądze trafiają do naszej gospodarki w dwójakiej postaci: poprzez umarzane (lub nisko oprocentowane) kredyty bankowe dla przedsiębiorstw oraz przez finansowanie deficytu w budżecie państwa. Dlaczego jednak rząd decyduje się na wypuszczenie

z centralnymi priorytetami, a nie miało na to środków finansowych, należało potrzebne pieniądze, w takiej lub innej formie, dostarczyć. Pieniądz, pojęty ideologicznie relikwii kapitalizmu, nie miał bowiem prawa hamować „realnych” procesów gospodarczych. Wraz z początkiem załamania gospodarczego, priorytetów gospodarczych przybyło, a realne możliwości ich wykonania zmalały. W związku z tym zwiększyła się liczba okazji do pompowania pustych złotych.

Nie jest to jednak jedyny powód — równoległe z kryzysem rozpoczął się bowiem inny proces wzmagający inflację: niezaspokojone żądania różnych grup społecznych.

Kryzys końca lat siedemdziesiątych i depresja gospodarcza w obecnym dziesięcioleciu spowodowały nagłe ograniczenie możliwości konsumpcyjnych społeczeństwa. Nikt tego nie oczekiwał i nikt nie czuł się odpowiedzialny za sytuację, jaka powstała. Państwo, które w naszym systemie tradycyjnie bierze na siebie wyłączną odpowiedzialność za gospodarkę i jej wyniki, nie mogąc zaspokoić oczekiwań konsumpcyjnych, grało na zwłokę, odpłacając żądania różnych grup społecznych przez drukowanie pieniędzy bez pokrycia.

Zmniejszoną produkcją było i jest coraz trudniej dzielić; robotników nadal próbowano jednak chronić przed wyzyskiem ze strony rolników, a rolników przed wyzyskiem ze strony robotników. Przy okazji rozkręciła się jednak spirala inflacyjna, która powodowała, że ochrona różnych grup społecznych stawała się coraz bardziej iluzoryczna i przypadkowa. Chwila refleksji nad dotychczasowym przebiegiem wydarzeń pozwala rozwinąć mój początkowy wniosek dotyczący cen: kontrola cen nie tylko nie hamuje inflacji, lecz przyczynia się do jej rozwoju przez stwarzanie szerokich możliwości dla różnorodnych nacisków wymuszających administracyjne podwyżki.

W SYSTEMIE gospodarczym opartym na wolnych cenach zagadnienie podziału wytworzonej w gospodarce nadwyżki odbywa się w dwójakim sposób.

Po pierwsze, na rynku pojawiają się, podejmujący swobodne decyzje, konsumenci i producenci. W każdym przypadku dokonuje się swoista auk-

cja: kupując ci, którzy są w stanie zapłacić najwięcej, a sprzedając ci, którzy potrafili wyprodukować najtaniej. Wolna cena zastępuje rzesze urzędników i koordynuje podaż i popyt daleko lepiej, szybciej i przy niższym koszcie społecznym.

O tym, jak wiele towarów na rynku kupi każdy z konsumentów, rozstrzyga wielkość posiadanego przezeń dochodu pieniężnego — im większy dochód, tym szersze możliwości zakupu poszczególnych dóbr. Wysokość uzyskiwanego dochodu zależy od wartości dostarczanych usług produkcyjnych: najczęściej zarabiają ci, którzy produkują rzeczy najbardziej wartościowe, a więc najbardziej potrzebne konsumentom.

Po drugie, pierwotny podział dochodu musi być jednak uzupełniony przez wtórną redystrybucję: należy zapewnić pewien minimalny standard życiowy tym, którzy, z takich lub innych przyczyn, sami nie mogą na siebie zarobić. Zbiera się więc pieniądze w postaci podatku od dochodów osobistych i przekazuje się je, w formie świadczeń społecznych, tym, którzy wymagają wsparcia finansowego.

Caly ten system podziału wytworzonego dochodu (pierwotny — przez ceny oraz wtórny — przez podatek od dochodów i świadczenia społeczne) działa sprawnie, a co najważniejsze: jest bezstronny i anonimowy; zostawia niewiele miejsca dla arbitralnych decyzji urzędników, przetargów, nacisków i korupcji.

Wróćmy jednak do naszej niewesołej rzeczywistości. Również u nas relacje cen (w tym plac) decydują o dochodach realnych poszczególnych grup społecznych. Podwyżka cen mięsa w skutek zwiększenia dochodów rolników. Niskie ceny mięsa w sklepie podwyższają dochody realne robotników. Dotacje do mięsa, potrzebne, aby utrzymać niskie ceny mięsa, obniżają dochody wszystkich, którzy płacą podatki, przy czym najgorzej wychodzą na tym ja-

JAK TO ZE LNEM BYŁO, CZYLI ZAPISKI CHŁOPO-REPORTERA

Henryk Sienko

Czerwiec — lipiec, 1987 roku

Zbliżały się żniwa. Przybywało złych wróżb. Jedni mówili, że za sucho, inni, iż może przyjść dłuższy, ciągły deszcz i wszystko zgnije. Nie przejmowałem się tym, ale wiedziałem, że mam owe krakania gryzą i niepokoją. Rozumiałem ją... Od lat prowadziła gospodarstwo ogólnotowarowe — takie, które produkowało wszystkiego po trochu. Starszych rolników trudno jest przekonać do jakiegokolwiek zmian. Nie, nie jest to zafianie! Raczej obawa przed śmiechem i obgadywaniem ludzi, gdyby się nie udało. A mieszkańcy naszej wsi o uprawie lnu wiedzieli tyle, ile starsi zapamiętali z przedwojennych czasów. I pewnie dlatego chichotali, drwili i złowroźnie przepowiadali mojej uprawie.

Len tymczasem rósł... Kwitnąca na niebiesko plantacja wyglądała tak romantycznie, że dla samego widoku warto było zasiać. Babcia Bartoska,

przechodząc obok lnu, przystawała, z niedowierzaniem kręcąc głową.

— Kiedy tak patrze na ten lny to cda raz wracam do przewoźnych czasów, kiedy to mocyło się go w rykach, potem tkalo w krosnach i syło gacie — opowiadała, trzymając w ręce kilka lodyg. — Nie, wtedy taki wielki to nie rósł.

Nasz len przerósł wyobrażenia nawet dyrektora Zrzeszenia Plantatorów Roślin Włóknistych. Był za wysoki!

— Nie spodziewałem się, że aż tak wyrosnie — mówił do nas, patrząc na brązowiejące już lany... Oczywiście cieszyliśmy się razem z nim.

Czas gonil, jak to na wsi. Przed żniwami chcieliśmy wyrwać i rozłożyć lodygi do rosznienia. Tym bardziej, że po pewnym czasie zaczęły się pojawiać oznaki choroby lodyg.

— Nie ma rady — mówił dyrektor zrzeszenia, oglądając nasze „majatki”. — Trzeba jak najszybciej oberwać do-

okoła plantację, by mógł wjechać ciągnik z wrywaczką. I módlcie się, żeby przez ten tydzień nie wyłożyły rośliny burze!

I martwiliśmy się wszyscy, nie tylko ja i Jurek. Pogoda od kilku dni była niepewna, a zagrożenie rosło z dnia na dzień.

Przy wrywaniu ręcznym pracowaliśmy w pięciorku przez sześć dni. Praca monotonna, ciężka. Roślina korzeni się płytko, toteż wyrwać ją łatwo, ale ci, co robili przy lnie po raz pierwszy, mówili, że woleliby wyrzucać obornik... Potem należało to wszystko przewieźć na inne pole, dosuszyć nasiona, wymłócić, ponownie wywieźć na rolę i rozelać do rosznienia. Roboty co niemiara, a była to przecież ledwie dziesiąta część obsianego arealu!

Z początkiem lipca zjechał do nas rolnik z Piaszk, by wyrwać len u mnie i u Jurka. Oczywiście za dojazd (ok. 40 km) miał sobie doliczyć. Robota

miała być wykonana w 4 godziny, ale przeciągle deszcze odłożyły jej rozpoczęcie o kilka dni. Było sporo czasu na rozmowy: o przeszłości, o rolnictwie, o polityce, o sprawach osobistych, roztrząsaliśmy problemy filozoficzne i przyziemne, religijne i materialistyczne... Tak w ogóle to człowiek ten jest nie mniej oryginalny niż ja, chłopodziennikarz. Zostawił w Koszalinie mieszkanie, sprzedał zachodnie auto, przyjechał na wschód, by dorabiać się od nowa. Zona, z zawodu prawnik, nie chce słyszeć — po pierwszych doświadczeniach — o pracy na roli.

— Co zrobić — pytał — jeżeli jest coś w człowieku z turysty, podróżnika, ryzykanta, sam nie wiem?... Zacząłem od hodowli krów — nie wyszło. Nie mogło wyjść, takie czasy: na mleko się nie stawia. Teraz związałem się z zrzeszeniem, jestem agentem. Prowadzę punkt usług wrywania i trzepania lnu. Na razie się oplaci.

Tych zamierzeń słuchałem z zainteresowaniem. Nie wierzyłem jednak, by mój rozmówca długo wytrzymał na wsi. Przyszłość pokazała, że miałem rację. Tacy już są dziwacy i ekscentrycy, którzy w jednej chwili potrafia odmienić o 180 stopni swoje życie.

Samo wrywanie wykonał dokładnie i solidnie, nie policzył nawet za dojazd. Dzięki niemu uniknęliśmy z Jurkiem mnostwa dodatkowej pracy. Korbaj wyrwał roślinę, oberwał szypułki z nasionami, wysypał je na przyczepę i rozłożył słomę do rosznienia. Obl-

rozce, którzy, nie wiedząc czemu, finansują — zapewne nieświadomie — większość społeczeństwa.

W takiej sytuacji wysiłek społeczny orientuje się nie na to, jak zarobić dodatkowe pieniądze, produkując coś pożytecznego, lecz na to, jak wywalczyć dla siebie korzystniejszy układ

od dochodów osobistych. (Ten ostatni jest lubiany przez ekonomistów, ale z reguły nie lubiany przez polityków, ponieważ wolą oni podatki, które nie są bezpośrednio płacone z indywidualnej kieszeni obywatela, lecz ukryte, zamaskowane — tak jak podatek obrotowy, stanowiący narzut na cenę sprzedaży; ze zrozumiałych względów lepiej jest

kość podaży rynkowej. Przynoszą natomiast ze sobą najbardziej tani mechanizm podziału dóbr: sytuację, kiedy do zakupu mięsa upoważniona nie jest jedna kierowniczka lub dwie godziny spędzone w kolejce, lecz odpowiednia suma posiadanych banknotów.

Wolne ceny przyniosą też inny natychmiastowy efekt ekonomiczny: przekazują wiarygodną informację o kształtowaniu się popytu i kosztów. Bez takiej informacji wszelkie reformy ekonomiczne mogą doprowadzić nie do polepszenia gospodarstwa, lecz do chaosu. Widać to najwyraźniej na przykładzie problemu bankructw przedsiębiorstw. Dziś, przykładowo, stoimy przed perspektywą zamknięcia kilku cementowni, podczas gdy popyt na cement znacznie przewyższa podaż, a braki w budownictwie są jedną z najbardziej palących potrzeb. Przy braku wolnych cen wyniki ekonomiczne przedsiębiorstw są wypadkową działań politycznych i przetargów, a nie efektem struktury potrzeb społecznych. Gospodarka ulega wyalienowaniu wobec systemu społecznego, zaczyna żyć własnym życiem, w którym kopalnie pracują dla potrzeb elektrowni, a elektrownie dla potrzeb kopalni.

Wolne ceny mogą doprowadzić do przywrócenia złotowce jej funkcji pieniędza — uniwersalnego ekwiwalentu towarów. Płace znów zaczną pełnić funkcję motywacyjną, a czas marnotrawiony na kolejki i „załatwianie” będzie mógł zostać zużytkowany na dodatkową produkcję.

W warunkach swobody gospodarczej wolna cena będzie spełniać dalsze ważne zadanie: skłoni producentów do wytwarzania tego, co jest społeczeństwu potrzebne. Wyalienowany sektor jałowy gospodarki ulegnie samolikwidacji przez ponoszone straty, a w jego miejsce pojawi się produkcja zorientowana bezpośrednio na potrzeby konsumenta.

DLACZEGO jest tak źle, skoro może być tak dobrze? Brakuje odwagi i wyobraźni, ale to tylko odpowiedź częściowa. Na wolnych cenach tracą ci wszyscy, którzy dziś kupują tanio, omijając kolejki: nabywcy mieszkań i samochodów z przydziału, klienci specjalnych sklepów i posiadacze różnorodnych deputatów w towarze. Stracą również ci, którzy dziś czerpią dochody z nierównowagi, zyskując pieniądze, pozycję lub inne korzyści w zamian za rozdzielane „prawa zakupu”. Stracą ogromnie rzesze urzędników, uprawiające dziś heroiczną sztyfową pracę w sferze rozdzielnictwa towarów, ponieważ to ostatnie przestanie być potrzebne. Stracą wreszcie — i to prawdopodobnie jest najważniejsze — wszyscy „reprezentanci” interesów klasowych, społecznych, zawodowych, którzy dziś znaczenie polityczne czerpią bądź z faktu sprawowania władzy na obszarze gospodarki bądź z faktu wywierania nacisku na władzę — wszyscy ci, którzy chronią ekonomicznie nauczycieli przed robotnikami, robotników przed rzemieślnikami, na wszystkich przed nami wszystkimi — naszym kosztem.

WOLNE CENY

dochodów przez zmianę relacji podatków, dotacji i cen.

WRÓCMY raz jeszcze do „okrągłego stołu”, gdyż jest to najbardziej znamienny przykład. W swej części politycznej spotkanie to było bez wątplenia przełomem o historycznym znaczeniu. Jednak „stolik ekonomiczny” poświęcił, niestety, większą część swoich obrad nie temu, jak ratować gospodarkę i doprowadzić do tego, aby produkowała ona to, co jest potrzebne, lecz temu, jak sprawiedliwie podzielić coraz bardziej nijaką i wykruszającą się produkcję.

Dyskusje ekonomiczne koncentrowały się wokół dwu zagadnień:

1) rynku żywności, gdzie nasi czolowi poszukiwacze sprawiedliwości społecznej snuli refleksje, których treść z niewielką przesadą można sprowadzić do tropienia słusznej relacji ceny — cięgniaka do ceny karkówki; w efekcie doprowadzono do strajków chłopskich na dużą skalę (niczego innego nie należało się spodziewać po arbitralnych, przypadkowych decyzjach, polegających tym razem na hamowaniu koniecznych zmian relacji cen; w takich przypadkach ktoś zawsze czuje się pokrzywdzony);

2) powszechnej odgórnjej indeksacji, który to pomysł przypomina zagadnienie kwadratury koła, o czym przekonująco świadczy fakt, że osiągnięto rezultat (80-procentowa indeksacja) nie zadowalający faktycznie nikogo.

Zaden z powyższym problemom nie musiałby być w ogóle dyskutowany, gdyby wprowadzono jednorazowym aktem całkowitą swobodę ustalania cen i plac, likwidując jednocześnie podatek obrotowy (lub przynajmniej ujednolicając jego stawkę, poza oczywistymi wyjątkami, jak alkohol i tytoń) oraz wszystkie inne kuziołkowe podatki, jak podatek od ponadnormatywnych wydatków wynagrodzeń czy nowy nieszczyśliwy pomysł w postaci „dywidendy” płaconej Ministerstwu Finansów. Miejsce tych wszystkich dziwołagów ekonomicznych powinien zająć podatek

podkreślać, że „państwo daje”, „zabezpiecza”, niż uwidaczniać, ile ta wspólna ośmielność kosztuje społeczeństwo płacone podatki).

Postulaty te nie są oczywiście nowe. Obok uzdrowienia stosunków własnościowych, stanowią one de facto jeden z dwu głównych składników reformy. Jak sądzą jednak, jednorazowe i powszechne uwolnienie systemu cen powinno stanowić pierwszy krok, logicznie wcześniejszy wobec reformy własnościowej, która zakłada pełnię praw do dysponowania majątkiem produkcyjnym, a więc także do stanowienia cen.

Ponadto, co nie mniej ważne, system wolnych cen może spowodować pozytywne skutki ekonomiczne nawet w okresie przejściowym, kiedy nie nastąpi pełna reforma własnościowa (ta ostatnia, jeżeli rozumieć ją jako przejście do systemu własności akcyjnej, będzie z konieczności procesem długotrwałym).

Niestety, tego typu decyzja wymaga odwagi i wyobraźni. Może ją podjąć dopiero rząd mający poparcie społeczeństwa, świadomego potencjalnych przejściowych kosztów (bezrobocie) doprowadzania gospodarki do stanu normalności. Wydaje się, że wyobraźni brakowało przy „okrągłym stole”, gdzie spakali się ludzie przyzwyczajeni do ręcznego sterowania gospodarką i przetargowej, a nie systemowej (ekonomicznej), drogi uzgadniania interesów poszczególnych grup społecznych: „istnieje dość powszechna opinia, że »sojaldemokraci z partii« próbują się porozumieć z »sojaldemokratami z opozycji« (doc. Piotr Kryczka, „Relacje” nr 14).

OSOBIŚCIE sądzą, że nasze społeczeństwo w przeważającej większości wolałoby kupować twaróg droższy o 30 złotych, niż „zdobywać”, „załatwiać” lub „połować” nań w sklepach spożywczych.

Wolne ceny nie powodują obniżenia poziomu życia społeczeństwa, ponieważ o tym ostatnim decyduje realna wiel-

cość, że chcąc zrobić to ręcznie, trzeba by było stracić ok. 15 dni, a pracować by musiało przynajmniej 6 osób.

Włókno więc już się rosilo. Mnie pozostało odziarnienie wcześniej wyrwanych łodyg, wysuszenie ziarna i rozłożenie słomy...

Uparalem się z tym po żniwach. Te były też wyjątkowo udane, zboże plonowało znakomicie, nie było problemów z załatwieniem kombajnu, ze zbytem ziarna. Nawet w kolejkach przed elewatorium specjalnie się nie naczełam. Martwiło mnie jednak co innego: od pewnego czasu gwałtownie rozchodzą się drogi rolniczych dochodów i wydatków, zapłaty za wyprodukowany towar i odpływy gotówki z chłopskiej kieszeni. Jeszcze nie wybrałem z banku pieniędzy za sprzedane zboże czy mleko, a już trzeba było płacić podwyższony podatek. Jeszcze nie sprzedałem buraków, a już były kolejne wydatki: zakup nawozów, paliwa do ciągnika, środków ochrony roślin czy części do starzejącego się sprzętu. Żeby nie wiem jak kalkulować — konfiguracja cyfr nigdy nie wskazywała zysku na poziomie chociażby średniej krajowej pensji. Gwałtownie odpływający pieniądz to jeden problem, a inna sprawa, że czasem pieniądze ten trudno było wydać. Podatek, zwiększone opłaty za światło i składki ubezpieczeniowe przyjmowano bardzo sprawnie i szybko, lecz kiedy przyszło kupić coś dla siebie czy gospodarstwa, było już gorzej. Sytuacja z węglem

niemal tragiczna, na nawóz trzeba trafić i dać w łapę, podobnie ze środkami ochrony, częściami zamiennymi, paszami...

Pieniądże to rzecz w gospodarstwie pierwsza. Wydawało się ich wciąż więcej i więcej, przybywało mniej i wolniej. Niekiedy od sprzedania produktu do odebrania gotówki upływało kilka dni i w tym czasie traciła ona na wartości. Dochodziło do sytuacji absurdalnych. Oto np. Składnica Maszyn Rolniczych w Niedzwicy Dużej sprzedawała bronę — tzw. piątki. Cena wynosiła 25 tys. zł, ale rolnik musiał podpisać oświadczenie, że w wypadku zderzenia bron w „najbliższym czasie” zgadza się dopłacić różnicę!

Na domiar wszystkiego we wsi zawiązał się Komitet Budowy Gazociągu. Co kilka tygodni jego przedstawiciele chodzili po domostwach, wyciągając ręce po kolejne raty. Nie były to kwoty symboliczne, w każdym razie nie dla nas. Rosła inflacja, rosła też wysokość kolejnych rat. A przecież gazociąg to jeszcze nie gaz w mieszkaniu; dojdą koszty przebudowy instalacji kominowej, zakupu pieca gazowego (ok. 300 tys.), kuchenki gazowej (ok. 60 tys. bez łapówek) i inne. W sumie, jak obliczyłem, budowa gazociągu uszczupli budżet każdej zagrody o ok. 800 tys.

— Dlaczego tak się dzieje? — pytał stryj. — Na wsi na wszystko chłop musi płacić; i na budowę szkoły, i Fundusz Ochrony Zdrowia, na gazociąg, na drogę i remizę OSP, na

LISTY

Dokończenie ze str. 6

Listy — przeważnie krytyczne — pod adresem tekstu „Stalin, Bierut i »Czarcia Łapa«” nadesłali także pp. Jan Czerwiński, L. D., J. J. F., Zbigniew Laskowski, J. S., J. T., Leon Żuk (wszyscy z Lublina), Jerzy Różański z Puław i Jerzy Pankiewicz z Wrocławia. Na tym — oraz na felietonie Michała Zielińskiego pt. „Memento” (str. 16) — zamykamy dyskusję w sprawie: zburzyć czy pozostawić pomnik Bieruta w Lublinie?

(Red.)

SZUKAMY MATERIAŁÓW DO ANTOLOGII

„...istnieje przecież sto rodzajów literatury i każdy z nich zaspokaja inny głód” (Adolf Rudnicki).

Ukazał się w księgarniach zbiorek opowiadań mojej Siostry Marii Szczepowskiej, wydany w „Czytelniku” dzięki staraniom Anny Tatarkiewicz i Klemensa Górskiego (str. 124, nakład 10 000).

„Przeżyłam Pani opowiadanie z prawdziwą przyjemnością. Utwór cechuje umiejętność kreślenia sylwetek ludzkich, postaci są dla nas bliskie przez swą prawdziwość. Jest to pierwszorzędny atut pisarski. Potrafiła Pani wydobyć specyficznie bardzo smutną i przynębiającą, atmosferę ludzi skazanych na cierpienie, atmosferę »lagrów« (list J. Strykowskiemu do M. Szczepowskiej, 20 lutego 1957 r.).

Moja Siostra nie chciała być sławną — chciała być czytana, bo sama czytała dużo i chciała do ostatnich dni przytomności. Dlatego też proszę o pomoc w dotarciu do właściwego czytelnika.

Wielu starań dołożyła, by w bibliotekach warszawskich poszukać okruciny twórczości naszego Brata Jerzego Szczepowskiego, o którym napisał Józef Łobodowski: „...Tylko jeden z nich, Jerzy Szczepowski, był autentycznym poetą w stadium fermentu i poszukiwania. Była to interesująca zapowiedź, wkrótce przecięta kulą sowieckiego mordercy w łasku Katyńskim” („Kultura” 1964 r. nr 7/8 Paruz). Całość Jego dorobku została skonfiskowana w noc 13/14 kwietnia 1940 r.

1990 r., w piątą rocznicę śmierci mojej Siostry i siedemdziesiątą piątą urodzin Brata, zamierzam — pod patronatem Muzeum im. J. Czechowicza — wydać dwa bibliofilskie jednoarkuszowe tomiki.

A od niedawna dr Elżbieta Rzewuska mój Mąż i ja postanowiliśmy spróbować zebrać materiał do antologii twórczości Tych, którzy zginęli razem z moim Bratem. Będziemy bardzo wdzięczni za informacje, rady i wskazówki. Korespondencję prosimy kierować: Irena Szczepowska-Szychowa, Trybunańska 5 m 12, 20-113 Lublin.

Irena Szczepowska-Szychowa

SYMBOLICZNY GRÓB

Zwracam się z prośbą o pomoc w pewnej sprawie. Zachęca mnie fakt, że wasze czasopismo „Relacje”, które zdobyło wielką sympatię czytelników, śmiało porusza tematy, do niedawna stanowiące swoiste „tabu”.

Często odwiedzam cmentarz przy ul. Lipowej, na którym spoczywają moi Rodzice. Jakś czas temu zauważyłem na cmentarzu wojskowym przy ul. Biłej, że ktoś zainicjował symboliczny grób poświęcony ofiarom zbrodni katyńskiej. Odpowiedni napis i wizerunek krzyża na murze była skrupulatnie zamalowywany na polecenie jakichś czynników. Ponieważ w Warszawie na cmentarzu wojskowym na Powązkach od dawna istnieje taki symboliczny grób, więc sądzą, że inicjatywa nieznanego osoby lub osób u nas, w Lublinie, winna być podtrzymana i zalążkowa. Jak wiadomo, wśród ofiar tej zbrodni byli mieszkańcy naszego miasta, a wśród nich gen. Smarowski — dowódca Lubelskiego Okręgu Wojskowego.

Moim zdaniem, po doprowadzeniu tego miejsca do porządku należy wykonać choćby skromny nagrobek, trwały napis i wizerunek krzyża oraz spowodować, by nie były one niszczone i usuwane.

Jeśli uznacie, że moja propozycja zasługuje na poparcie, to ze swej strony jestem gotów wpłacić 5000 zł na poczet ewentualnych kosztów i liczę, że nie będę w tym odosobniony, zwłaszcza że w Lublinie istnieje komitet, którego zadaniem jest opieka nad tym cmentarzem.

Tadeusz Ruciński
Lublin

Koniec odcinka 2. — cdn.

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Córce mojej poświęcam

**Obóz Jeńców Wojennych,
Nianda, Komi ASRR,
10 lipca 1941 r.**

Dzisiaj w godzinach rannych, po nagłym przeprowadzonej rewizji osobistej naszego skromnego dobytku, poinformowano nas, że zostaniemy przewiezieni do innego obozu. Tym razem pojedziemy nie barkami rzeczniczymi, ale pociągami. Wagony towarowe zostały już podstawione na stacji kolejowej Urdoma, którą wybudowaliśmy własnymi rękami. Gdzie jedziemy? Nikt nie wie. A jeśli nawet wiedzą coś na ten temat strażnicy lub władze obozowe, to przecież i tak nam nie powiedzą. Przebąkuje się tylko w obozie, że pojedziemy jakoby na „jug” — na południe.

W kilka godzin później, załadowani już do części wagonów, oczekujemy z niecierpliwością na przybycie kolegów z innych łagrów, z sąsiadujących z Niandą obozów Tywa i Urdoma, którzy muszą przemaszerować kilkanaście kilometrów, aby dotrzeć na stację.

Wieczorem, skompletowany wreszcie pociąg rusza w stronę Kotlasu. A więc na południe, a nie na północ, jak się tego cały czas obawialiśmy. Świętnie! Brawo! Humory się nam poprawiły, polepszyło się samopoczucie. Pociąg unosi się z sobą ludzi pełnych nadziei na najlepsze.

**Jużnyj Obóz NKWD,
Talica, Iwanowska oblasť,
gdzieś pod Moskwą,
20 lipca 1941 r.**

Przybyliśmy do tego obozu przed trzema dniami. Jechaliśmy koleją przez Kotlas, Kirow, Gorki. 16 lipca wylądowano nas na stacji Wjazniki, położonej na trasie Moskwa — Gorki. Czekal nas teraz czterdziestopięciokilometrowy marsz do tutejszego obozu, w Talicy koło Juży.

Dla naszych osłabionych organizmów marsz ten był wielkim wysiłkiem. W czasie jednego z odpoczynków wykopaliliśmy się w pobliskim jeziorze, co znacznie poprawiło nam samopoczucie. Potem eskorta rozdawała po kromce chleba, ale nie dla wszystkich wystarczało. Ja dostałem. Gdy zapadł wieczór, musieliśmy się zatrzymać na noc w lesie, bo tak wielu naszych cierpi z powodu wycieńczenia na kurzą ślepotę, że musieliby chyba być prowadzeni za rękę. Przycupnąwszy w grupkach na piaszczystej leśnej drodze, w kucki, niczym kury, przedrzemaliśmy do świtu. Strielkowie przez całą noc palili ogniska. Rankiem ruszyliśmy powoli w dalszą drogę i tego samego dnia, 17 lipca, dotarliśmy jako pierwsza jeniecka kolumna do pustego pierwszego obozu Talica.

Rozmieszczono nas w barakach, po kilkaset osób w każdym. Ja trafiłem do baru nr 3. Rozpoczęło się życie obozowe, ale jakże odmienne od naszego dotychczasowego bytowania w obozach pracy na północy, w republice Komi! Jedzenie jest tu lepsze, praca znacznie lżejsza. W barakach — prycze piętrowe, bez sienników. Jeść dostajemy trzy razy dziennie. A ponadto ci, którzy wychodzą do lasu na zbiórki drzewa do kuchni, otrzymują dodatkową strawę i jeszcze 100 gramów chleba. Poza tym zbiera się w

lesie jagody, których jest tu bardzo dużo.

Talica, 15 sierpnia 1941 r.

Uplynęło już kilka tygodni na pogodnym wypoczynku. Bo to, co tutaj robimy, jest wypoczynkiem po ciężkiej fizycznej pracy w poprzednich obozach. Na zachodzie toczy się wojna z Niemcami, ale tutaj jej echa słabo do nas docierają. Myślimy przede wszystkim o tym, żeby jak najbardziej wypocząć.

Każdego dnia do obozu przybywa coraz więcej i więcej ludzi. Jak już pisałem, jęńcy z naszego 55 Łagpunktu byli pierwsi w tym obozie. Potem zaczęły nadciągać następne transporty z północy. Niektórzy z przybywających byli kiedyś razem z nami w Zaporozu. Są też ci z Krzywego Rogu. Spotykamy całą masę starych znajomych i przyjaciół. Zebrało się w Talicy około 12 tysięcy ludzi.

Poza jęńcami z 1939 roku zwieziono tu również internowanych żołnierzy z Litwy i Łotwy, którzy następnie zostali wywiezieni przez bolszewików do obozów pracy na półwyspie Kola. „Internowani” czują się i wyglądają znacznie lepiej od nas, więzionych już od września 1939 roku. Jest wśród nich wielu takich, którzy na czapkach wojskowych mają jeszcze orzelki polskie, a na naramiennikach oznaki stopni wojskowych. Swoim wyglądem wprowadzają nas w zachwyt i podziw. Robi na nas wrażenie, że ręka najeźdźcy nie złamała ich fizycznie i duchowo, tak jak nas. Bolszewicy nie zdążyli zrobić z nich nędzarzy. Kilkunastodniowy pobyt na półwyspie Kola nie wyczerpał ich, tak jak nas długi pobyt w obozach.

Ci „wolni” internowani wykazują dużą inicjatywę na terenie naszego obozu i ta cecha zaczyna się udzielać także nam. Już po kilkunastu dniach pobytu w Talicy nabraliśmy animuszu, werwy i chęci życia. Po co nas tu zgromadzono? Wszyscy się nad tym zastanawiają, nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

Obóz żyje zupełnie innym, niż tego dotąd doświadczaliśmy, zespolonym życiem. Otoczono nas, jak już wspominałem, także zupełnie inną opieką. Poza pracą wewnątrz obozu, która polega na budowaniu nasypu i szosy obok budynków dowództwa obozu, do innych prac, na zewnątrz, prawie się nie wychodzi. Bieliznę oddajemy do pralni obozowej, w której pracują nasi koledzy. Między innymi — Teos Cybok. Zabiera on własnoręcznie moja bieliznę do prania i przynosi ją, już czystą, tego samego dnia.

Do obozu dostarczono specjalnym transportem jeniecki bagaż, który zostawiliśmy swego czasu na stacji kolejowej Wjazniki. My tam mieliśmy naszych rzeczy niemożono. Szczególnie wielki i ciężki bagaż mieli natomiast nasi „internowani”. Dla ich zasobności nazywamy ich nieraz „Amerykanami”. Jak się okazuje, nabyli te rzeczy na Łotwie i Litwie, gdzie byli poprzednio. Ich walizy są iście „amerykańskie” w porównaniu z naszymi tobołkami nędzarzy.

Kilka razy doręczano w obozie listy, które doszły jeszcze do naszych

obozów na północy, kiedy tam przebywaliśmy, a nie zostały z różnych względów doręczone adresatom; szczególnie — za odmowę wychodzenia do pracy. Ja, niestety, żadnego listu nie otrzymałem. A tak bardzo by się przydał dla pogłębienia radości, jaką przeżywałem, znalazłszy się tutaj!

Jesteśmy wprawdzie w dalszym ciągu pod strażą strielków, ale nie obchodzą się oni tutaj z nami tak bestialsko jak w innych, poprzednich obozach.

W ogóle życie w obozie toczy się „po polsku”. Na estradzie w obozowym parku gra orkiestra „internowanych” pod kierunkiem prof. Mazurkiewicza. Śpiewa chór obozowy pod batutą Dylonga. Chór daje kilka razy w tygodniu występy; są też inne występy artystyczne; na taki koncert przychodzi kilka tysięcy widzów. Na terenie obozu zainstalowano megafon. Miejscowy radiowęzeł informuje o wydarzeniach obozowych i wydarzeniach ze świata. W komunikatach coraz więcej wieści o działaniach wojennych na zachodnim froncie.

**Obóz jeniecki Talica,
23 sierpnia 1941 r.**

Od kilku dni cały nasz obóz chodzi jak nieprzytomny z radości! Oto przez megafon podano nieoczekiwane wiadomości o Rządzie Polskim w Londynie, a następnie — o zawarciu umowy między Rzeczpospolitą a ZSRR o wzajemnej pomocy i nieagresji. Dowiedzieliśmy się o umowie Sikorski — Stalin i o amnestii dla Polaków (nie-Zydów, nie-Ukraińców i nie-Białorusinów) zesłanych do ZSRR po 17 września 1939 roku.

Te wiadomości uświadomiły nam teraz, dlaczego sprowadzono nas tu, do Talicy, z dalekiej północy. Wprawdzie wyjazd nasz z północy nastąpił prawie miesiąc przed zawarciem polsko-sowieckiej umowy, ale widocznie już się o tym myślało...

Ożyły nasze serca, polepszyło się samopoczucie, wzrosła nadzieja na wydobycie się kiedyś spod opiekuńczych skrzydeł raju sowieckiego. Nadzieje nasze stawały się faktami.

Po wiadomości o zawarciu umowy Sikorski — Stalin zaczęto mówić coraz częściej w obozie, że ma wkrótce przybyć do Talicy przedstawiciel Armii Polskiej, która ma się tworzyć w ZSRR. Dziś po długim oczekiwaniu nastąpił radosny dzień: otrzymaliśmy wiadomość, że jutro przybywa do nas delegat! Polski wojskowy delegat z głównego dowództwa polskiego!

Dowództwo obozu zostało wycofane, władzę objęli nasi przedstawiciele; zdjęto również sowieckie straże wewnętrzne obozu. Straż pełnią obecnie koledzy-jęńcy. Można wychodzić poza teren obozu na podstawie wydawanej przez polskie dowództwo obozu przepustki.

**Talica,
24 sierpnia 1941 r.**

Od wczesnego ranka przygotowywaliśmy się do wymarszu na duży plac poza obozem, bo tam miał się odbyć przegląd i defilada. W oddziałach zwartych czekaliśmy na placu o godzinie 8 do 11. Wreszcie w pewnym momencie słychać głosy: „Idzie, idzie!”. Faktycznie. Idzie sobie średniego wzrostu, otyły pan w kapeluszu na głowie, w towarzystwie wielu wojskowych sowieckich. Wszystkim nam ciśnie się na usta pytanie: „A dlaczego nie jest ubrany w polski mundur wojskowy?”. Każdy podciąga się, na ile tylko go stać i na ile się wyciągnąć może z tych „sowieckich betów”, w jakie jest ubrany, by zrobić na „pułkowniku” dobre wrażenie.

Pułkownik niezawodnie poznał, że duch wojskowy w nas jest taki sam, jaki był dawniej przed zabraniem nas do niewoli. „Co to za pułkownik, jak się nazywa, kto go zna?” — pytają nawzajem jęńcy stojący w kolumnach czworokowych. „A może to „browekacja?” — z niedowierzaniem ktoś podaje.

Dano znak ciszy. Przybył wojskowi, z pułkownikiem Nikodemem Sulikiem-Sarrowskim, wchodzi na trybunę przybraną flagami polskimi i sowieckimi. Z trybuny tej pułkownik Sulik — bo tak się właśnie nazywa delegat — wygłosi za chwilę do nas przemówienie...

Trudno opisać radość, jaka panowała wówczas w naszych sercach. Tęgo wrażenia żadne pióro nie zdoła wypowiedzieć! Radość panowała w naszych sercach, rozpieła nasze serca; spłynęła na nas jakaś rzewność... Wokół panowała cisza. Sen to czy jawa?! Tu za chwilę ma zostać wygłoszone przemówienie w języku polskim?! W języku polskim, tak zniecierliwym przez dostojników sowieckich. Wierzyć się wprost nie chce!

Wreszcie z megafonu dochodzą nas mocne, żołnierskie słowa pułkownika Sulika: „Żołnierze!”...

W krótkim przemówieniu pułkownik Sulik mówił o tym, że jesteśmy w dalszym ciągu żołnierzami. Że nikt nas nie zwolnił od przysięgi złożonej na wierność Ojczyźnie. A potem udzielił wyczerpujących wiadomości o organizowaniu Wojska Polskiego na terenach ZSRR oraz o zawartych umowach między rządem polskim w Londynie a rządem ZSRR. Po przemówieniu wniesiono toasty [tak w tekście — przyp. MD] na cześć dostojników polskich oraz na cześć obecnych naszych sojuszników.

Pułkownik Sulik wezwał następnie, aby oficerowie, znajdujący się między nami w szeregach, niezwłocznie, po deszli do trybuny. Zrobił się ruch w poszczególnych oddziałach. Za chwilę pojedynczo podeszli pod trybunę kilkanaście osób. Byli między nimi: najstarszy stopniem pułkownik Seybal [późniejszy dowódca 4 pułku artylerii — przyp. MD] i najmłodszy, podporucznik Wacław Czerwiecki. [Późniejszy dopisek]: Jego to właśnie później w Tatiszczewie prosiłem przez Bołka Rysaka o weryfikację mojego stopnia. Pułkownik się z nimi przywitał. Można było zauważyć, że obecni na trybunie sowieccy wojskowi są zaskoczeni i zdziwieni obecnością naszych oficerów, jako że obóz był obrazem dla szeregowych.

Na zakończenie odbyła się defilada przed pułkownikiem Sulikiem. Maszerowaliśmy oddziałami w kolumnach czworokowych, pełni dumy.

**Talica,
25 sierpnia 1941 r.**

Dzień dzisiejszy stał się dniem wstąpienia do Armii Polskiej w ZSRR wszystkich przebywających w obozie Talica-Juza. Ci, którzy już przeszli odbywające się od dzisiaj badania lekarskie na komisji poborowej, cieszą się, że wkrótce odjadą transportem w okolicę Saratowa do obozów Armii Polskiej. W skład komisji wojskowo-lekarskiej wchodzi przedstawiciele polscy i sowieccy; w komisji lekarskiej są m. in. koledzy-lekarze z naszego obozu.

**Obóz Talica,
21 sierpnia 1941 r.**

25 sierpnia komisja poborowa zakwalifikowała mnie do służby wojskowej. 28 sierpnia dostałem 500 rubli w gotówce tytułem odszkodowania za przymusowy pobyt w ZSRR i podpisałem deklarację.

Dzisiaj rozpoczyna się rozładowywanie obozu i wywózka koleją i statkami na rzecę Wiaźmie do nowych miejsc postoju i tworzenia się Armii Polskiej. Są to miejscowości Tatiszczewo koło Saratowa nad Wołgą i Bazuluk.

Podobno w Moskwie jest ponownie Ambasada Polska, na czele której stoi prof. Stanisław Kot.

Jest nas teraz tutaj, w Talicy, 15—16 tysięcy byłych wojskowych i członków Policji Państwowej.

Po wielu miesiącach rozłąki w obozie tutejszym spotkałem starych kolegów i przyjaciół: Stefka Kaczyńskiego, Iskrcę, Karola Jastrzębskiego i resztę pozostałych ziomków, z którymi rozdzielono nas w obozie w Zaporozu podczas ładowania do pociągu 22 maja 1940 roku i których 31 maja 1940 roku pozostawiłem w obozie przejściowym w Kotlasie podczas ładowania do barek na rzecę Dźwinie Północnej.

Wiem już, że z obozu w Talicy wyjadę transportem, który ma odejść 3 września. Kierunek — Tatiszczewo.

(Koniec odcinka 13. — cdn.)

Podał do druku i opracował:

Mirosław Derecki

O WYŻSZOŚCI ŚWIĄT WIELKANOCNYCH NAD ŚWIĘTAMI BOŻEGO NARODZENIA DOWIEDZIONEJ W PEWNYM SPEKTAKLU

Magdalena Jankowska

WYSTAWIANIE dramatów staropolskich ma u nas dobrą tradycję, zainicjowaną na początku wieku przez Leona Schillera i kontynuowaną chlubnie przez Kazimierza Dejmka. W Lublinie przysposabiał je do potrzeb współczesnej sceny jeszcze za „Gongu 2” Andrzej Rozhin, a dzisiaj aktorka wyrosła z jego zespołu. Joanna Morawska (występująca obecnie pod auspicjami Teatru im. J. Osterwy), pokazuje monodram „Worek Judaszów”, według tekstów staropolskich.

Również lubelski Teatr Lalki i Aktora kilkakrotnie, i to z dużym powodzeniem, sięgał do tych źródeł. Był więc słynny Stanisława Ochmińskiego „Tryptyk staropolski”, a bodajże w 1982 roku Tomasz Jaworski wyreżyserował tu „Amora Divinusa”. W ubiegłym miesiącu przypomniano to przedstawienie w zmienionej już obsadzie.

Na tryptyk (opracowanie tekstów: Mieczysław Kotlarczyk) składają się dramaty z XVI i XVII wieku: misterium nativitatis, widowisko zamotwane w końcu XVII wieku, jako specjalny typ neomisterium, opartego na stałym cyklu o charakterze pastoralnym i jasełkowym; misterium pasyjne oraz, niegdyś najbardziej ulubione w Polsce, misterium rezurekcyjne.

Podział na trzy odrębne części dramaturgiczne podkreślony jest odmiennym kolorem oświetlenia tej samej, przez cały czas, dekoracji. Sceny pasyjne rozgrywane są w amarantowej poświacie, doskonale podkreślającej charakter wydarzeń i nawiązującej do symboliki sakralnej. Części pierwszej towarzyszy niebieskie oświetlenie, a trzeciej czerwono-różowe.

Dekorację (Wiesław Jurkowski), jak kaže tradycja wystawiania misterium, stanowi rys architektoniczny, tu uwzględniającej linię renesansowego łuku. Konstrukcja jej jest szlachetna w swej prostocie, którą dodatkowo podkreśla materiał, z jakiego została wykonana — naturalne drewno. Trochę w tym układzie dysonuje ustawiona w tle plansza z niezwykle uproszczonym pejzażem, wyglądającym byle jak i obco w tym otoczeniu. Zarówno technika malarska, jak i kolorystyka sprawiają wrażenie wziętej z innej konwencji.

W takiej scenarii pojawiają się lalki o oryginalnie szpetnych postaciach, jednakowo odstępujące od powszechnego kanonu wyobrażeń. Rajska Ewa jest więc wiedźmowata, anioły zaś to toporni młodzieńcy o ziemistych ceraach. Nie razi to tutaj jednak i z czasem świat zaprezentowany na scenie zaczyna urzekać nas swą przewrotną estetyką, której specyfikę podkreśla jeszcze kontrast między szpetną lalką a urodą prowadzących je aktorów. (Amor Divinus Bożeny Dragun). Ta rozbieżność stanowi źródło dodatkowych wrażeń wizualnych.

Oprócz lalek animowanych w tradycyjny sposób, została tu użyta, i wypadła bardzo efektownie, figura ludzka, wmontowana w okrąg ruchomej tarczy, która przy każdym obrocie układała się w coraz to innej, dramatycznej pozycji. Zastosowanie tego pomysłu dało atrakcyjny scenariusz i przejmujący myślowo obraz, stanowiący jeden z najciekawszych elementów przedstawienia.

Muzyka (Sławomir Czarnecki) wykorzystana w spektaklu, chociaż sama nie narzuca się uwadze odbiorcy, to wydatnie podnosi efektywność wielu scen.

Hierarchizując części spektaklu, trzeba powiedzieć, że pierwsza ze swą statycznością wypadła zdecydowanie słabiej. Brakło w niej „strzałów w dziesiątkę”, jakim okazało się chociażby wspomniane wyżej rozwiązanie. No, może scena przybycia do szopki — ze śpiewem, muzyką, opuszczaniem amora i grą świateł — zabrzmiała pełniejszym tonem. Poza tym brakowało postaci prezentowanych z większą ekspresją, jak np. „totalne” w swojej ruchliwości i hałaśliwości diabły, które ubarwiły drugie misterium. Ale walory widowiska pasyjnego i rezurekcyjnego stały się dostateczną nagrodą za brak wrażeń w czasie oglądania pierwszego dramatu.

PRZYJECHAŁ do Lublina Teatr „Divaldo na Provakku” z dwoma przedstawieniami, zatytułowanymi: „Nie jestem swoim psem” i „Rozbitek”. Teatr na uwięzi albo teatr na postronku, jak wynika z tłumaczenia. Teatr z Czechosłowacji, teatr powstały po praskiej wiosnie 1968 roku. Teatr znany na całym świecie.

Kiedy w siedzibie Lubelskiego Studia Teatralnego uczestniczyłem w powitaniu Bolesława Polivki i Jirego Pecha, a aktorzy Grupy Chwilowej dzielili się z gośćmi świątecznym jajkiem, towarzyszyła nam muzyka i poezja Karela Kryla, pieśniarza związanego z małymi teatrykami Teplic, Okmuńca i Pragi (od września 1969 roku mieszkającego w Monachium). Na jednej z jego płyt sfotografowano siedzącego na chodniku człowieka. Na plecach wymalowana była strzelnicza tarcza. Płyta miała krótki tytuł: „Bratrzyczku”. Pisze o tej poezji pięknie Marek Zaleski w sierpniowym numerze „Res Publici”. Tam też zamieszczony został wiersz Kryla w przekładzie Katarzyny Boruń. Odnalazłem w nim słowa, które powtórzyły się potem w finale przedstawienia:

ci tylko to, kilka zabawnych anegdot, „krzykliwość”, patos pomieszany z chwilą zadumy, dobre przedstawienie przygotowane dla zagranicznego kontrahenta. Ale dla tych, którzy wiedzieli, że słowa drugiego przedstawienia, słowa: „Nie jestem swoim psem”, były słowami Polivki, słowami komentarza, odczytali dramat o poniżeniu ludzkiego ciała i ludzkiego umysłu jako dramat pewnej epoki i pewnego pokolenia.

Język tego przedstawienia był językiem ręki, który odbieraliśmy wizualnie, i językiem twarzy, który odbieraliśmy słuchowo. Gest ręki był gestem mistrzowskim. Rejestr tych gestów był ogromny. Zapamiętaliśmy gesty nawiązywania kontaktu z otoczeniem, wodą i powietrzem, nawiązywania kontaktu z drugim człowiekiem, gesty spożywania, polykania, łaknienia, gesty buntu i protestu, gesty niepokory. Układały się w obraz człowieka, obdarzonego możliwością poruszenia się, obraz człowieka rozpaczającego, pragnącego, obolałego, głodnego, bezsilnego i zaszczutego, oszukanego.

Twarz, razem z ręką, głosiła w tym przedstawieniu pochwałę

się w swojego pana. Co odbijało się w jego psich oczach? Człowiek trzymający jego smycz, jego postronki. Jedyną przestrzenią była przestrzeń drogi, prowadzącej w kierunku innego świata.

Opowieść czeskiego aktora była opowieścią smutnej drogi i smutnych miesięcy. A raczej smutnych miesięcy, które jeszcze pozostały. Była w tej opowieści wzruszająca prawda o człowieku, opowiedziana wstrząsającą metaforą, którą trudno zrelacjonować, by jej nie zniszczyć. Może tylko poetyckie słowo potrafi odkryć jej przesłanie:

Tam gdzie gotyckich okien luk
Krzyż jest miłości krzykiem
Usta zdławił drewna stuk
Nie świadczą więc przed nikim
We wieńcach kłamstwo.

trwogi dreszcz
A zamiast łez mży drobny deszcz
Z portretów twarzy zmyte...

To słowa Karela Kryla. Myślę, że spektakl „Nie jestem swoim psem” był próbą rozmowy z człowiekiem. Ale przecież inaczej rozmawia się w kościele, inaczej w brudnej poczekalni, na ulicy, inaczej w teatrze. Język tego spektaklu nie był językiem wyszukany, sztucznie wzbogaco-

NIE JESTEM SWOIM PSEM, JESTEM ROZBITKIEM...

NIEMY KRZYK POKOLENIA

Waldemar Sulisz

„Nie jestem swoim psem”. Wiersz zatytułowany jest „Dzieciom Palacha”, przypomina postać tragicznie zmarłego studenta Uniwersytetu Praskiego, który spalił się na znak protestu przeciwko wkroczeniu do Czechosłowacji wojsk Układu Warszawskiego. To jedno zdanie brzmiało: „Bezgłośnie do księżycy pieśń wyje znów po nocy...”

Był w tej pieśni niemy krzyk pokolenia... Ten sam krzyk można było usłyszeć w obu przedstawieniach czeskiego teatru.

W świecie rozbitka. Tak najkrócej zatytułować można relację z wieczoru, którego gospodarzem był Bolesław Polivka. Świat rzeczywistości scenicznej wyznaczony został piętrowym, żelaznym łóżkiem, kilkoma rekwizytami, oszczędnym światłem, dźwiękowym efektem. W ubogiej przestrzeni scenicznej, miejscu akcji, oglądaliśmy obrazy rysowane gestem jednego aktora. Na pierwszy rzut oka to miejsce sceniczne było banalne: odrapanie łóżka i mroczny obszar, ograniczony kilkoma szmatami. Pierwsze oszczędne gesty, zgrane z dobiegającym z głośników pluskiem wody, wyznaczyły atmosferę samotnej przestrzeni i próbę jej przezwyciężania. Z biegiem czasu mogliśmy zanotować narastające znaczenie odrapanego łóżka: samotna wyspa, szpitalny pokój, więzienna-cela, pusta ulica były miejscami samotności, choroby, udręki ciała, zniewolenia umysłu, pragnienia miłości, tęsknoty za wolnością, a więc różnych aspektów ludzkiego życia.

Jedna rzecz zwracała od początku uwagę. Ów świat rozbitka, świat porozbijany przez czas, świat tragicznie przesionięty został ironicznym gestem, na pozór wesołym śmiechem, cyrkową błazenadą. Być może niektórzy dostrzegali w Bolkovej opowie-

ludzkiej osoby, „odbijała” drugiego człowieka. Kim był ten drugi z Bolkovej opowieści? Bywał takim samym zaszczutym zwierzęciem, bywał prześladowanym to zwierzę, bywał współcierpiącym, bywał dawkującym cierpienie, bywał wyszydzonym, bywał sztydzącym, bywał czulym, bywał okrutnym, śmiał się i płakał, „bywał w żywe serce uderzonym”, „bywał uderzony kastelem w usta”...

Język gestu w przedstawieniu „Rozbitek” był językiem odgrzywającym zjawiska ze świata bliższego Polivce, jego przyjaciół, bliskiego nam, uczestniczącym w tym spektaklu. Był językiem ze swej istoty metaforycznym, ale dobrze osadzonym w rzeczywistości, też przecież nam znajomej. Współuczestniczyliśmy w tym opowiadaniu o pewnych ludziach, pewnym pokoleniu, pewnym czasie...

Dowjemy się. Tak chyba powinien brzmieć tytuł relacji z drugiego wieczoru, w którym słuchaliśmy Jirego Pechy, aktora Teatru na Postronku. Jego opowieść była uzupełnieniem poprzedniej opowieści. Z uwagą nasłuchiwalimy języka, nie wszystko rozumieliśmy, ale mogliśmy domyśleć się wiele. W programie było jedno zdanie, które tłumaczyło dużo: „Nie wiem już, czy ja to wszystko przeżyłem jako pies, no bo jeśli się to stało mnie, jako człowiekowi...”

Język tego spektaklu był językiem okrucieństwa, a gest był może okazał się bezsilny jako środek kontaktu między drugim człowiekiem. W sytuacjach tragicznych człowiek bywa „obdarzony” albo gestem, albo mową. W tym przedstawieniu człowieka obdarzono wyciem, którym stara się dowołać „inny świat”. Tu już nie chodziło o ludzkie zdziwienie, gdzie człowiek cierpiał bądź dawał cierpienie. Tu człowiek stał się zaszczutym zwierzęciem, z trwogą wpatrującym

nym, udziwnionym. Był językiem mówionym. Kto mówił na scenie? Czy postać psa, stworzona przez aktora, czy autor tekstu, czy bezosobowy głos?...

Te pytania zostawmy bez odpowiedzi, nie próbując pytać o sens okrutnej metafory.

Oto ostatnie słowa spektaklu, które przytaczam w całości: „Tym wyciem staramy się dowołać ten inny świat, który to tak często, my, psy, śnimy. Ciągle sobie myślę, że gdyby dokładnie w jednej chwili wyło mnóstwo psów i byłibyśmy dokładnie rozmieszczeni w teraźniejszym świecie, wytworzyłby się taki dźwięk, dosięglibyśmy takiej słodyczy, że byśmy się dowyli. Największa dziura na niebie zaczęła się rwać, drzeć, pękać i rozszerzać... I raz to się stanie. Gdy będzie nas właściwa ilość, będziemy poprawnie, geometrycznie rozmieszczeni, że dopełni się ten dźwięk i się dowyjemy. Dowyjemy się. Będziemy stąpać ku otworzonemu, nowemu światu. Będziemy iść do innego świata, a na końcu naszych smyczy połączymy za sobą tych bardzo szlachetnych i inteligentnych panów, którzy na to zasłużyli i chcieli się nas trzymać...”

W jednej z najpiękniejszych książek o teatrze, Ireny Sławińskiej: „Mojej gorzkiej europejskiej ojczyźnie”, znalazłem takie zdanie: „A jednak odwieczny paradoks sztuki sprawia, że wymyślony, nieprawdziwy świat poezji broni prawdy skutecznej i trwalej niż najmocniejsze, najtwardsze słowo szermierza-publikisty”.

Kończę moją relację ze spektakli czeskich aktorów słowni Karela Kryla:

Bezgłośnie do księżycy
pieśń wyje znów po nocy
Dolem z komedii Danta
setek świec drgają ognie...

NIE CZAS ZAŁOWAĆ RÓŻ...

Zbigniew Dzieciołek

ZAKŁADAC czy nie zakładać? Oto jest pytanie. Tym razem parafraza Szekspirowskiego „być albo nie być” dotyczy przyszłego modelu polskiej oświaty. Propozycje zmian są różne.

Szkola społeczna czy też, mówiąc wprost — prywatna — ma swoich przeciwników i zwolenników. Ci pierwsi uważają, że usankcjonowanie jej w polskiej realiach pogłębi i tak już istniejące nierówności społeczne. Drudzy natomiast upatrują w niej szansę wyjścia z edukacyjnego impasu. Osobiście nie jestem zwolennikiem całkowitej prywatyzacji polskiego szkolnictwa. Ale też nie widzę powodów, aby cieszyć się z państwowego monopolu, który obecnie przypomina bardziej „kram rozlicznego gatunku” niż szkołę.

Ministerstwo Edukacji Narodowej wyraziło zgodę na powstanie szkół niepaństwowych, które mogą być zakładane przez osoby indywidualne, zakłady pracy, fundacje i stowarzyszenia. Zgoda ministerstwa dotyczy jednak tylko szkół średnich i to z dwoma ograniczeniami: system wychowawczy i programowy nauczania będą podlegały kontroli państwa. Dyskusja na temat uspołecznienia szkolnictwa trwa.

Daniel Passent na łamach „Polityki” (nr 2/89, „Z deszczu pod rynnę”) nie odżegnuje się wprawdzie od proponowanych zmian, ale uważa, że szkoły mimo wszystko powinny pozostać bezpłatne. „Kto chce, komu zależy — niech dokształca swoje dzieci, choćby i za dewizy, w przedszkolach i na kompletach prowadzonych przez Pewex, ale poza powszechnym systemem szkół bezpłatnych. Szkoły bezpłatne zaś mogłyby być prowadzone nie tylko przez państwo, ale i przez ośrodki miejskie, kościelne, fundacje, organizacje międzynarodowe, stowarzyszenia, firmy, osoby prywatne itd., itp.”.

Pewex nie prowadzi jeszcze kompletów dla dzieci i młodzieży. Natomiast korepetycje, które pobierają uczniowie, są faktem. I nie jest to bynajmniej zjawisko efemeryczne. W wielu maturalnych klasach (jest to widoczne szczególnie w liceach ogólnokształcących) trzy czwarte przyszłych maturzystów korzysta z płatnej pomocy w nauce. Wysokość cen kształtuje się w zależności od rangi przedmiotu i po-

zycji zawodowej korepetytora. Miesięczne opłaty wynoszą od 10 do 60 tys. złotych, a płacą wszyscy bez względu na cenzus majątkowy. Przyczyną tego stanu rzeczy to odrębny temat do dyskusji... W każdym razie — tak czy owak — szkoła państwowa jest „płatna”.

Mam pewne wątpliwości co do propozycji D. Passenta dotyczącej bezpłatnej nauki w szkołach prywatnych. Wyobraźmy sobie, że znajdzie się entuzjasta, który zechce za własne pieniądze założyć taką placówkę oświatową. Wyposaży ją w doskonały sprzęt i pomoce naukowe, zaangażuje najlepszych pedagogów, którzy będą godziwie wynagradzani. Co więcej — będzie to z jego strony działalność społeczna, pozabawiona materialnych korzyści. Nawet w tak idealnym układzie szkoła ta będzie płatna. Musi bowiem przynajmniej na siebie zarobić, aby móc funkcjonować na odpowiednim poziomie i nie stać się przechowalniami dla różnych rozbitków życiowych (myślę o nauczycielach), czego szkoły państwowe są najlepszym przykładem.

Przyopusimy jednak, że organizacja tego oświatowego przedsięwzięcia zajmie się Kościół lub fundacja powołana przez kilka spółek czy też stowarzyszeń, dysponujących odpowiednią sumą pieniędzy. W tej sytuacji możliwe jest bezpłatne nauczanie, którego domaga się felietonista z „Polityki”. Szkoła taka stałaby otworem dla najlepszych, a nie dla najbogatszych.

Gdyby chodziło tylko o pieniądze, sprawa byłaby już rozwiązana, a dyskusja bezprzedmiotowa. Lecz D. Passent ma jeszcze zastrzeżenia innego rodzaju: „Niech uczą, jak chcą (ale nie, czego chcą [...]”.

Przepraszam bardzo, ale tu zaszło jakies totalne nieporozumienie! Jeżeli powiedzmy, siostry Felicjanki zdecydują się na prowadzenie takiej szkoły, to niech one uczą, czego chcą i jak chcą a egzaminy maturalne i wstępne na studia będą najlepszym sprawdzianem ich kompetencji zawodowych. Nawet najzagorzalsi zwolennicy uspołecznionego szkolnictwa nie wysłał przecież swoich dzieci do szkoły, która osiąga mierne wyniki nauczania.

Redaktor Passent nie uważa jednak za stosowne, aby edukacją młodego po-

kolenia zajęły się siostry Felicjanki, twierdząc, że „[...] szkoła powinna służyć dzieciom, a nie politykom albo rodzicom. Ani politycy, ani rodzice, ani dziennikarze nie powinni rządzić szkołą. Szkoła powinna rządzić pedagogzy, ludzie światli i niezależni od partii, od Kościoła, od opozycji i od nacisków rodziców”.

Z tej wypowiedzi wylania się obraz szkoły apolitycznej i awyżnaniowej. Mogłbym przyjąć (ale nie zgodzić się) do wiadomości tak sformułowany postulat, gdyby nie pewne rozbieżności w toku rozumowania D. Passenta. Pisze on bowiem w dalszej części felietonu, że „szkoły prywatne [...] powinny — oczywiście pod nadzorem państwa — istnieć [...]”.

Jeżeli tego typu placówki będą funkcjonować pod nadzorem państwa, to ja nie wyobrażam sobie ich apolityczności. I trudno się temu dziwić. Wszak już w XVI wieku obowiązywała zasada cuius regio, eius religio.

Natomiast obawy red. Passenta, dotyczące pogłębiania się nierówności społecznych z powodu płatnych szkół, wydają mi się przesadne, a argumentacja nieco przewrotna.

Po pierwsze — nie sądzę, aby system szkół prywatnych (płatnych) mógł zdominować nasze szkolnictwo (choćaby ze względów finansowych). Wręcz przeciwnie. Byłby doskonałym katalizatorem wpływającym na zmiany w szkołach państwowych, które, jak słusznie zauważył Daniel Passent, „[...] są zbyt mało urozmaicone, zbyt zbiurokratyzowane, zbyt sztywne, zbyt zależne [...]”.

Po drugie — nikt nie będzie wysyłał dzieci z deszczu pod rynnę. Jeżeli już będziemy wysyłać, to raczej spod rynnę na słońce. Prawdą natomiast jest, że z tego przywileju skorzystają, jak na razie, nieliczni. Ale nigdzie nie jest napisane, że szkoły płatne to znaczy lepsze. Wszystko zależy od tego, jakie zmiany zajdą w szkolnictwie państwowym.

Po trzecie — zapewnimy wszystkim dzieciom przedszkola, bezpłatną opiekę zdrowotną (tak! tak! wiem, co mówię), godziwe warunki życia i bezpłatny wypoczynek, a nie użalajmy się nad różami, gdy płoną lasy.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:

Kolejnym przedstawieniem prezentowanym (13.05 14.05) w ramach Lubelskiej Wiosny Teatralnej jest „Sztuka konwersacji” Kazimierza Brandysa w wykonaniu aktorów Teatru Polskiego z Warszawy. W rolach głównych wystąpią Anna Seniuk i reżyser spektaklu Andrzej Łapicki. Na pozór banalna konwersacja dwojga ludzi ujawnia fascynujące szczegóły nie tylko z ich biografii, ale także z biografii całego pokolenia „Kolumbów”. „Sztuka konwersacji” to faktycznie dyskusja na temat naszych ostatnich czterdziestu lat.

Natomiast Teatr Powszechny z Warszawy (16.05. 17.05) prezentuje spektakl pt. „Lekcja polskiego” Anny Bojarskiej w reż. Andrzeja Wajdy. Bohaterami dramatu są: nauczyciel — Tadeusz Kościuszko, uczennica — Emułka Eltner. Akcja rozgrywa się jesienią 1817 r. w Szwajcarii. Subtelna gra uczuciowa pomiędzy postaciami tej sztuki jest pretekstem do ukazania problemów znacznie ważniejszych, które najkrócej można ująć w słowach: „Bóg, honor, ojczyzna”.

Teatr Łalki i Aktora: 13.05—14.05 godz. 12 w Lublinie, 15.05—17.05 w Białymstoku: „Dziewczynka z ryżowych pól” Anny Swirszczynskiej; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny:

15.05 — występy gościnne w Ostrowcu Świętokrzyskim: „Baron cygański”.

W RYKACH

13.05—14.05 (Dom Kultury): w ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich wojewódzki przegląd teatryków dziecięcych.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filarmonia:

12.05 godz. 19, 13.05 godz. 18 — koncerty symfoniczne. Orkiestra PFL dyryguje amerykański dyrygent — Edgar Braun. Solista — Krzysztof Jakowicz (skrzypce). W programie: Koncert skrzypcowy D-dur op. 61 i III Symfonia Es-dur „Eroica” op. 54 L. van Beethovena.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa literatury Byszarda Krzywicki.

Muzeum Lubelskie — 13.05 godz. 12 — otwarcie ogólnopolskiej wystawy METAFORA '89 — „ziemia”.

Muzeum UMCS (ul. Nowotki 11) — wystawa pt. „Polski heraldyczny znak książkowy XVI—XX w.”.

BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa z kolekcji Francesco Conza z Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa fotografii i rysunku Christo.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby, instalacji i dokumentacji artystów z Norwegii.

Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa malarstwa Edwarda Dwurnika.

Galeria „Nova” (ul. Grodzka 5) — wystawa artystów z Dreźnie.

Galeria WDK (ul. Podgórze 3) — wystawa pt. „Fotografie” (z diapozytywów) Jerzego Wierzbickiego.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa prac członków Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych pt. „Wiosna '89”.

Klub MPIK (ul. Grażyny 7) — wystawa pt. „Malarstwo i rzeźba Rozalii i Józefa Szypulów”.

Galeria „Kont” (ul. Zana 11): 15.05 godz. 16.30 — otwarcie III Lubelskiego Festiwalu Malowanki „Karuzela”; godz. 17 — cykl „Performance” grupy „Pierś odsłonięta”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa sztuki artystycznej ze zbiorów BWA w Walbrzychu.

MIEDZYRZEC PODLASKI

Galeria „ES” — wystawa fotografii Zbigniewa Tomaszewicza.

W CHELMIE

Galeria 72 — wystawa grafiki i rysunku Tadeusza Gustawa Wiktora (czynna do 16.05);

19.05 — otwarcie wystawy węgierskiego artysty Istvana Haasza.

Muzeum Okręgowe — wystawa archeologiczna pt. „Odkrycia archeologiczne sezonu 1988 w Polsce środkowo-wschodniej”.

W ZAMOSCIU

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa rysunku satyrycznego Tomasza Jury.

BWA — wystawa malarstwa i rysunku Stanisława Białogłównicza.

ROZRYWKI

W LUBLINIE

11.05—12.05 godz. 19 (hala MOSiR) — zespół „Słask”.

16.05 godz. 18 („Chatka Zaka”) koncerty zespołów („NAO”, „Altfaun Des Rumun”) formacji „Light Blue Cyan” i innych); 17.05 godz. 18 — koncerty zespołów („Kirkut — Koncept”, „Szarstkie banany”, „Hienna”, „Reportaż”). Imprezy w ramach III Lubelskiego Festiwalu Malowanki „Karuzela”.

WIERSZ I PIOSENKA O LUBLINIE

Rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs literacko-muzyczny na wiersz i piosenkę o Lublinie, na który wpłynęło 169 zestawów prac i pojedynczych utworów. Sąd konkursowy postanowił przyznać dwie nagrody: Zofii Nowackiej-Wilczek za zestaw wierszy oraz Januszowi Nowosadowi za muzykę i słowa do śpiewnika dla dzieci pt. „Lubelski koziołek”. II nagrodę przyznano Elwirze Podlaszewskiej za zestaw wierszy. III nagrodę — Adamowi Ducinowi również za zestaw wierszy.

Ogłoszenie

Artykuły motoryzacyjne, elektronika, fotooptyka i inne — zapraszamy KOMIS Górną 11.

10572/G

Z KSIĘGARNI

PROZA

Andrzej Strag: „Dzieje jednego pościgu”. Książka i Wiedza, 350 zł. Z recenzji Tadeusza Boya-Zeleńskiego: „Jakaż to piękna książka, jedna z tych, które zostaną. [...] Na małej przestrzeni oddana jest cała podziemna epoka, wszystkie odcienie rozkolysanych nadziei i zawodów, dzieje walk i klęski, i wszystkie uboczne procesy chemii rewolucyjnej”.

Józef Hen: „Milczące między nami”. KAW, 700 zł. Powieść psychologiczna, której akcja toczy się we współczesnej Warszawie.

Susan Sontag: „Zestaw do śmierci”. PIW, 1200 zł. Jedna z najciekawszych powieści eksperymentalnych lat sześćdziesiątych, opowiadająca o śmierci i umieraniu. Jej autorka (urodziła się w 1933 roku w Nowym Jorku) zaliczana jest do grona twórców postmodernizmu.

Miodrag Bulatović: „Gullo Gullo”. PIW, 1050 zł. Powieść popularnego pisarza serbskiego, mówiąca o współczesnym terroryzmie.

Franciszek Bernas: „Złoto i krew”. Wyd. Lubelskie, 620 zł. Książka ta poświęcona jest przypomnieniu dwu głosnych w latach międzywojennych afer finansowych — szwedzkiego multimilionera „króla zapalczanego” Kron-

gera i Francuza Stawickiego, zwanego „królem oszustów”.

LITERATURA NAUKOWA I POPULARNONAUKOWA

Ireneusz Ichnatowicz: „Człowiek. Informacja. Społeczeństwo”. Czytelnik, 1200 zł. Praca z serii „Wielkie problemy dziejów człowieka”.

Mieczysław Inglot: „Wyobrażenia poetycka Norwida”. PWN, 520 zł.

Jarosław Marek Rymkiewicz: „Juliusz Słowacki pyta o godzinę”. Czytelnik, 800 zł. Tom szkiców historyczno-literackich poświęconych tzw. okresowi mistycznemu w życiu i działalności twórczej Słowackiego.

„Film i kontekst”. PAN i Ossolineum, 380 zł.

Andrzej Tokarczyk: „Wprowadzenie do komparystyki prawniczej”. Wyd. Lubelskie, 1300 zł.

Andrzej Tokarczyk: „Ewangelicy polscy”. Interpress, 600 zł.

Jerzy Bafia: „Polskie prawo karne”. PWN, 950 zł.

„Problemy gospodarcze Drugiej Rzeczypospolitej”. PWE, 650 zł.

Rudolf Drössler: „Mosty w przeszłość”. Wyd. Śląsk, 950 zł. Archeologiczne sensacje ostatnich lat.

Tadeusz Barucki: „Architektura Japonii”. Arkady, 780 zł.

(Powyższy wybór nowości dokonany został w księgarni nr 1 „Domu Książki” przy Krak. Przedmieściu 68 w Lublinie).

VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI MŁODZIEŻY SZKOLNEJ „O LAUR WIERZBAKA”

Zarząd Wojewódzki ZSMP w Poznaniu, Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZSMP, Ośrodek Kultury WIERZBAK Spółdzielnia Mieszkaniowa „Jeżyce” w Poznaniu zapraszają młodzież szkolną do wzięcia udziału w VIII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim o Laur Wierzbaka.

Celem konkursu jest aktywizacja twórcza młodzieży szkolnej, konfrontacja postaw i poglądów poetów środowiska szkolnego, a także popularyzacja współczesnej poezji uczniów, zawiadzającej ich problemy i wizje twórcze.

Tematyka konkursu jest dowolna. Konkurs ma charakter otwarty, udział w nim mo-

gą brać uczniowie z całego kraju. Prace oceniane będą w dwóch grupach: I grupa — młodzież szkół podstawowych, II grupa — młodzież szkół średnich. Uczestnicy konkursu są zobowiązani do nadesłania trzech utworów poetyckich, nigdzie dotąd nie publikowanych, w trzech egzemplarzach maszynopisu pod adresem: Ośrodek Kultury „WIERZBAK” 60-618 Poznań, ul. Wajpka Polskiego 6/8 z dopiskiem „Konkurs Poetycki”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30.9. br. Każdy utwór winien być opatrzony godłem. Do zestawu prac należy dołączyć zaklejoną kopertę, opatrzoną godłem i numerem grupy konkursowej, zawierającą wewnątrz imię, nazwisko, wiek, nazwę szkoły oraz dokładny adres domowy autora.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 31.10. br. Uroczyste podsumowanie konkursu odbędzie się w Poznaniu podczas trwania Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Laureaci będą mogli uczestniczyć w towarzyszących podsumowaniu warsztatach literackich, prowadzonych przez twórców profesjonalnych (poetów i krytyków literackich). Laureaci i wyróżnieni zostaną listownie zaproszeni do udziału w podsumowaniu.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody: NAGRODĘ GŁÓWNA „LAUR WIERZBAKA” w każdej grupie oraz 6 nagród i wyróżnień. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród i wyróżnień. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac. Natomiast prace nagrodzone zostaną opublikowane.

Dodatkowych informacji udziela Ośrodek Kultury „WIERZBAK”, adres: jw., tel. 22-45-92.

A. W.

TV

Czwartek — 11 maja

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dwóch pośród piasków” — film fab. produkcji ZSRR

10.30 Domator: To się może przydać — powtórzenie na życzenie; Malowanie mieszkania (2)

15.55 Program dnia. Dt — wiadomości

16.00 Studio sport: Wyścig Pokoju — etap IV (Wrocław — Poznań)

17.15 Teleexpress

17.30 Studio wyborcze

18.00 „Warszawskie Towarzystwo Cyklistów” (2) — „Spełnione marzenia” — film dok. Bogdana Tuszyńskiego

18.25 Sonda: Pomysł na coś

18.50 10 minut

19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa

19.10 Teraz — tygodnik gospodarzy

19.30 Dt

20.05 „07 zgłoś się” (1): „Zamknąć za sobą drzwi” — serial sensacyjny prod. TP

21.30 Studio wyborcze

21.45 Kronika Wyścigu Pokoju

21.55 Czas — magazyn publicystyczny

22.25 Pęzaz — magazyn aktualności kulturalnych

23.05 Dt — echa dnia

23.25 Język francuski (28)

Program II

16.55 Język francuski (28)

17.25 Program dnia

17.30 Świat festynów

18.00 Program lokalny

18.30 Lokalne studio wyborcze

19.00 Magazyn „102”

19.30 Puls

20.00 „Nowi poszukiwacze przygód”: Jean Verame — film dok. prod. franc.; reż. Andrzej Kostenko

21.00 Ekspres reporterów

21.30 Panorama dnia

21.45 Kino Studyjne „Dwójki”: „Ja — Kocham, ty — Kochasz” — film obycz. prod. CSRS

23.25 Komentarz dnia

Piątek — 12 maja

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia świata

8.50 Domowe przedszkole

9.15 Dt — wiadomości

9.25 Dt — dodatek gospodarzy

9.40 „Trzy siostry dnia dzisiejszego” (2) — film fab. prod. węgier.

15.45 Program dnia. Dt — wiadomości

15.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego

16.15 Studio sport: Wyścig Pokoju — etap V (Poznań — Cottbus)

17.15 Teleexpress

17.30 Studio wyborcze

18.00 „Sztandary zielone na masztach zatknijcie” — program dok. w przeddzień Święta Ludowego

18.25 „Rok 1939 — słowa i fakty” cz. 2

18.50 10 minut

19.00 Dobranoc: Sąsiedzi

19.10 Monitor rządowy

19.30 Dt

20.05 „Chłodnym okiem” — dramat psychologiczny prod. USA

21.45 Studio wyborcze

22.05 Kronika Wyścigu Pokoju

22.15 Otwarte studio — program public.

23.15 Dt — echa dnia

Program II

16.55 Język angielski (57)

17.25 Program dnia

17.30 Wreckowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego

18.00 Program lokalny

18.30 Lokalne studio wyborcze

19.00 Magazyn „102”

19.30 Dookoła świata: W ojczyźnie corrido

20.00 Magazyn „Piątek” — krakowski przekładaniec kulturalny. W programie m. in. chasydzkie pieśni Manfreda Lemma

21.30 Panorama dnia

21.50 Filmy Johna Hustona: „Meby Dick” — film fab. prod. ang.; wyk.: Gregory Peck, Richard Basehart, Leo Genn, Orson Welles

23.45 Komentarz dnia

Sobota — 13 maja

Program I

8.00 Tydzień na działce

8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny

9.00 Kino najmłodszych: „Księżniczka na grochu” — baśń prod. ZSRR

10.30 Dt — wiadomości

10.40 Stare, nowe, najnowsze

11.25 Bellona — wojskowy mag. public.

11.55 Telewizja prowincja

12.25 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz — „Kongres we Francji”

14.00 Do trzech razy sztuka — program z udziałem aktorów, dziennikarzy, sportowców

14.35 Komedie, komedie, komedie: „Święta wojna” — film prod. pol.

16.05 Losowanie Dużego Lotka

16.15 Studio sport: Wyścig Pokoju — etap VI (Cottbus — Halle)

17.15 Teleexpress

17.30 Studio wyborcze

18.00 Polityka, politycy — program Andrzeja Biliaka

18.30 Butik — magazyn Grażyny Sześcińskiej

19.00 Dobranoc: Podróż kapitana Klipera

19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Czy rzeczywiście przyjaźni?

19.30 Dt

20.05 „Falszywy król” — film fab. prod. ang.

21.45 Studio wyborcze

22.00 Tydzień w polityce — komentarze Karol Szyndzielorz

22.10 „Szafa” — program rozrywkowy

22.55 Telewizyjny przegląd sportowy

23.20 Dt — wiadomości

23.25 Jutro w programie

23.30 — 1.30 Kino nocne: „Powrót człowieka, zwanego koniem” — western prod. USA

Program II

14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących

14.25 Telewizyjny koncert życzeń

14.55 Powitanie

15.00 Zwierzęta świata: „Z życia gepardów” — film przyrodniczy prod. USA

15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki

15.40 Meandry architektury: Coraz wyżej (2)

16.00 „Spotkanie na Łysej Górze” — film dok. Stanisława Szware-Bronikowskiego

16.25 „Tajniki przyrody” — odc. 6: „Szerokość geograficzna zero” — serial dok. prod. ang.

17.00 „Najdłuższa wojna no-

woczesnej Europy” — odc. 2 pt. „Lancet i plug”

18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Lokalne studio wyborcze

19.00 Szansa (1) — teleturniej

19.30 Alfa i Omega: Rozbite lustro

20.00 Festiwal Muzyki — Łańcut '89: Koncert inauguracyjny

21.00 Studio sport: Piłka w grze

21.30 Panorama dnia

21.45 „Chateauvallon (1) — serial fab. prod. francusko-luksemburskiej

22.40 — 22.45 Komentarz dnia

Niedziela — 14 maja

Program I

8.55 Program dnia

9.00 Dla młodych widzów: Teleanek, a w nim „Kto, ja, panie poroz?” (1) — serial prod. ang.

10.30 Dt — wiadomości

10.40 Cykl Wawel: „Wawel zaginiony” — film dok. Artura Janickiego

11.25 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty

12.00 Poranek symfoniczny WOSPRI TV w Katowicach pod dyr. Antoniego Wita

13.00 Telewizyjny koncert życzeń

13.45 Teatr dla dzieci: Andrzej Opala: „O ptaszku, który las zadziwił” (2)

14.35 „Opowieść o bitwie” — film dok. Jerzego Passendorfera

15.40 „Katarzyna” (7) — serial kostiumowy prod. franc.

17.15 Teleexpress

17.35 Relacja z centralnych uroczystości Święta Ludowego

18.40 Antena

19.00 Wieczorynka: Smurfy

19.30 Dt

20.05 „Hoover przeciw Kennedy” (4) — ostatni odc. fabularyzowanego dokumentu prod. kanad.

21.00 Raport: Siedem dni

21.10 Sportowa niedziela

22.10 „Sławne kobiety i ich czasy” — odc. 3 pt.: „Coco Chanel” — serial dok. prod. franc.

23.15 Dt — wiadomości

23.20 Jutro w programie

Program II

9.25 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących

9.55 „Hoover przeciw Kennedy” (4) — ostatni odc. fabularyzowanego dokumentu prod. kanad. (dla niesłyszących)

10.50 Peryskop — wojskowy program public.

11.20 Lokalny koncert życzeń

11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych

12.15 Powitanie

12.20 Polska Kronika Filmowa

12.30 Kino familijne: „Powrót na Wyspę Skarbową” — odc. 4 pt.: „Jamajka” — serial przygodowy prod. ang.

13.25 100 pytań do...

14.00 „Polacy” — film dok.

14.45 Podróż w czasie i przestrzeni: „Życie codzienne w starożytnym Egipcie” (3) — serial dok. prod. ang.

15.45 Szansa (2) — teleturniej

16.15 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina

16.30 Prezentacje Hi-Fi

16.45 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko”: „Odkrywanie Antarktydy” — film prod. ZSRR

17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych

19.00 „Malowany ptak” — spotkanie z Jerzym Kosińskim

19.30 Galeria 37 milionów

20.00 Festiwal Muzyki — Łańcut '89: Recital Garricka Ohlssona

21.00 Studio Hi-Fi

21.30 Panorama dnia

21.45 „Wichry wojny” (9) — serial fab. prod. USA

21.30 Komentarz dnia

22.25 Studio festiwalowe — Łańcut '89

22.45 — 23.00 Dobranoc tylko dla dorosłych: Żywoty kurtyzan

Poniedziałek — 15 maja

Program I

13.15 Studio sport: Wyścig Pokoju — VII etap (Halle — Berlin)

16.20 Program dnia. Dt — wiadomości

16.25 Luz — program nastolatków

17.15 Teleexpress

17.30 Studio wyborcze

18.00 Echa stadionów

18.30 Laboratorium — magazyn

18.50 Dobranoc: Bajka o jabłoni

19.10 Gorące linie

19.30 Dt

20.05 Teatr Telewizji: Jerzy Zawieyski — „Miecz obosieczny”; reż. Tadeusz Malak; wyk.: Aleksander Fabisiak, Aldona Grochal, Hugo Krzyski, Andrzej Buszewicz, Anna Dymna, Henryk Bista, Edward Lubaszenko i inni

22.10 Studio wyborcze

22.25 Kronika Wyścigu Pokoju

22.35 Wódka pozwól żyć...

23.05 Dt — echa dnia

23.25 Język niemiecki (26)

Program II

16.55 Język niemiecki (26)

17.25 Program dnia

17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień

17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Nazwy miejscowe Kielecczyzny

18.00 Program lokalny

18.30 Lokalne studio wyborcze

19.00 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych

19.30 „Sposób na prowincję” — Teatr Polski w Bydgoszczy

20.00 Festiwal Muzyki — Łańcut '89: Virtuosi di Roma (transmisja)

21.15 Rozmowy o cierpieniu

21.30 Panorama dnia

21.45 Klub Miłośników Litwy — rep.

22.10 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie” (7) — serial prod. franc.

23.10 Komentarz dnia

Wtorek — 16 maja

Program I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Mieszkanie z pomysłem

8.50 Domowe przedszkole

9.15 Dt — wiadomości

9.25 Dt — dodatek gospodarzy

9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (7) — serial prod. CSRS

10.45 Domator: Rady na życzenie; Praca dodatkowa

15.55 Program dnia. Dt — wiadomości

16.00 Studio sport: Wyścig Pokoju — VIII etap (Berlin — Drezno)

17.15 Teleexpress

17.30 Studio wyborcze

18.00 „Następny proszę” (3) — „Cyrkowe sztuczki” — serial obycz. prod. ang.

18.50 10 minut

19.00 Dobranoc: Dwa małe trzmiele

19.10 Od A do Z — „W” jak waluta

19.30 Dt

20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (7) — „Kryjówka” — serial prod. CSRS

21.10 Studio wyborcze

21.25 Konferencja prasowa rzecznika rządu

21.40 Kronika Wyścigu Pokoju

21.50 Studio „Solidarni”

22.35 Dt — echa dnia

22.55 Język angielski (28)

Program II

16.55 Język angielski (28)

17.25 Program dnia

17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej” (10) — serial dok. prod. ang.

18.00 Program lokalny

18.30 Lokalne studio wyborcze

19.00 „Wojna domowa” (1) — „Ciężkie jest życie” — serial TVP; reż. Jerzy Gruza. Wyk.: Irena Kwiatkowska, Alina Janowska, Kazimierz Rudzki, Andrzej Szczepkowski, Krzysztof Musiał, Elżbieta Goralezyk

19.30 Bliisko nieba — magazyn alpinistyczny

20.00 Non stop kolor — „The Police-synchronicity” — film prod. ang.

POLSKA NORMA

MÓJ PROGRAM ATOMOWY (2)

Waldemar Plasecki

RED. Pawluczuk, reagując na mój felieton o energii i energetyce jądrowej swoim felietonem, zdecydowanie sobie pochlebia. Po pierwsze, uznając się za „klasyka” i protekcyjnie zwracając się do Czytelników w pierwszym zdaniu: „Jak zapewne czytelnicy już wiedzą, w swoich felietonach...”. Po drugie, gdy w ostatnim zdaniu sugeruje, jakobym chciał go przekonywać oraz wyznacza sposób i metodę tej perswazji. Ambicji namawiania kogokolwiek i do czegokolwiek nie mam. Na pewno już nie Czytelników, bo uważam ich za ludzi poważnych i posiadających swoje poglądy. Podobnie jak red. Pawluczuka.

To, co miałem do powiedzenia na temat energii atomowej, powiedziałem. Uważam, że logika rozwoju nauki i wiedzy wielekroć dowodziła, że przed pewnymi jej osiągnięciami nie ma ucieczki. Mimo iż mogą to być osiągnięcia groźne. W tym sensie, że nieumiejętne nimi posługiwanie może prowadzić do zupełnie nie zamierzonych skutków, często nawet tragicznych.

Zwracając uwagę na pewne ogólne prawidłowości rozwojowe, wcale nie muszę sięgać do liczb, zwłaszcza niezwiązanych z tematem bezpośrednio. Dlatego za naiwne uważam uwagi kolegi-redaktora i jego zażalenie, iż nie dyskutuję nad wyższością energii atomowej w oparciu o pracę S. Albinowskiego. Dlaczego? Ano dlatego, że ja nie pisałem o marnotrawstwie energii i nadmiernych kosztach jej pozyskiwania w Polsce, tylko o ewentualnych szansach, jakie może dawać rocznie produkowana energia elektryczna z elektrowni jądrowych. To, że mam taką opcję, nie jest żadną dobrą „chęcią poparcia programu ministra Wilczka”.

Red. Pawluczuk daje do zrozumienia, że ludzie o odmiennych poglądach mają je nie dlatego, że po prostu widzą rzeczy inaczej, tylko dlatego, że podwiązują się pod konkretne nazwiska. Taki sposób widzenia świata zasługuje na wzruszenie ramion.

Jeżeli w swoim felietonie dostrzegam przyszłość dla energii i energetyki jądrowej, to nie dlatego, że należę do „klubu Wilczka”, ale m. in. dlatego, że bywam na Śląsku i widzę, co się tam dzieje. Stopień degradacji środowiska jest tam zastraszający, a ma to bezpośredni związek z węglem. Wydobytym nieracjonalnie i wykorzystywanym tak, że skutecznie zatruwa wszystko dookoła. Nie jestem na tyle naiwny, by uważać, że elektrownie atomowe byłyby zdolne w ogóle zastąpić udział węgla w pozyskiwaniu prądu, ale na pewno mogłyby go ograniczyć. Z korzyścią m. in. dla Śląska, który mógłby się choćby częściowo uwolnić od presji wydobycia za wszelką cenę.

Dokonuje w swoim felietonie red. Pawluczuk zabiegu myślowego, który ma przekonać Czytelnika, że drogą wyjścia z naszych kłopotów gospodarczych jest racjonalne wykorzystanie energii. Pisze, że gdybyśmy gospodarzyli nią tak, jak Korea czy EWG, „moglibyśmy wyprodukować wszystkiego (dosłownie wszystkiego: samochodów, lodówek, pralek, telewizorów, butów itd.) trzy razy więcej”. Jest to chwyt demagogiczny, bo może sugerować, iż wielkość produkcji nie zależy od, powiedzmy, stanu wiedzy technicznej, wyposażenia technicznego, stanu środków produkcji, wydajności pracy, jakości materiałów czy wreszcie dostępności dla Polski nowoczesnych technologii, kredytów oraz rynku zbytu.

Nie jest to sprawa aż tak banalnie prosta. Nie da się wyprowadzić prostej zależności między 122 mln ton, jak cytuje autor za Albinowskim, marnowanego węgla, a ilością na rynku kolorowych telewizorów. Jest to przejaw myślenia magicznego.

Przejaw podobnego myślenia stanowi stwierdzenie red. Pawluczuka, że zamiast „brać się za restrukturalizację archaicznego przemysłu, zamiast się unowocześniać i doganiać świat”, proponuję rzekomo program: więcej prądu. Przede wszystkim niczego takiego

w moim tekście nie ma. Jeżeli cokolwiek proponowałem, to budowanie pewnej alternatywy energetycznej i zmniejszenie udziału energii pochodzącej z węgla, a nie dodawanie do już istniejącej energii jeszcze jakiejś nowej.

Ciekaw byłbym natomiast, jak mój oponent widzi to „branie się” za gonienie świata. Zmiana struktury gospodarki nie zależy od takiego zagrzewania do boju, a od mroźnego przekształcania energochłonnego przemysłu. Huta po hucie, fabryka po fabryce. Z całą pewnością zajmie to kilkadziesiąt lat i jest to raczej optymistyczny wariant. Przez ten jednak czas gospodarka polska potrzebować będzie energii nadal i ciągle więcej, niż relatywnie Korea. Struktury gospodarki nie da się zmienić w tydzień, nawet jeżeli odetnie się jej radykalnie dopływ prądu.

Zupełnie natomiast nie pojmuję tezy red. Pawluczuka, że nie potrafimy zapewnić bezawaryjnego funkcjonowania elektrowni atomowej, co wiąże on ze złym stanem nawierzchni dróg i brakiem dwupalnikowych kucharek turystycznych oraz niedostatkiem sera żółtego. Nie dostrzegam jakichkolwiek powodów, dla których bezawaryjnie funkcjonuje elektrownia w bułgarskim Kozłoduju, a nasza żarnowiecka miałaby od razu wybuchnąć. Mimo iż w Bułgarii także asfalt jest wylewany nierówno, brakuje sera żółtego, a kucharki dwupalnikowe kupowane są chętnie od polskich turystów.

Nie uważam, aby stan techniczny naszej gospodarki en bloc był stanem klęski i zacofania. Są przykłady dowodzące czego innego, choć — zgoda — rzadkie. Inne przykłady pokazują także, że Polak w odpowiednich warunkach organizacyjno-motywacyjnych potrafi wylewać asfalt (powiedzmy w Kuwejcie) czy budować nawet nowoczesne elektrownie w Iraku lub Turcji. Nie jest to więc kwestia szczególnej tępoty, głupoty i braku chęci, a przede wszystkim motywacji. Dlatego dyskusja o energetyce atomowej nie jest dla mnie „robieniem min do gry, która pachnie grubą przegraną”.

Do zamilowania red. Pawluczuka do przyszłości nie odnoszę się. Bowiem o gustach nie dyskutuję, a poza tym przywykłem w każdym okolicznościach posługiwać się swoimi słowami i myślami. Nawet jeśli komuś się zdaje, iż należą do min. Wilczka.

KTO JEST KIM W REGIONIE

MARKOWSKI Zdzisław. Lat 60. Zonaty. Żona Anna. Dwóch synów: Jerzy — lekarz medycyny, Marek — inżynier budownictwa. Absolwent Wydziału Prawa KUL (1952). W sądownictwie od 1955 roku. Pełnił funkcję prezesa sądu we Włodawie, w Chełmie, wiceprezesa Sądu Rejonowego w Lublinie, przez wiele lat przewodniczący Wydziału w Sądzie Rejonowym. Od 1981 roku prezes Sądu Wojewódzkiego w Lublinie.

Za sposób na życie uważa pracę; taką pracę, która daje satysfakcję osobistą, satysfakcję otoczeniu — współpracownikom i przełożonym. Ceni bezpośredniość, prostolinijność, uczciwość.

WISNIEWSKI Józef. Lat 56. Zonaty. Żona Jadwiga. Syn Leszek. Absolwent AWF we Wrocławiu (1954). Po studiach instruktor wychowania fizycznego u „Kościuszkowców”, od 1963 roku kierownik WKS „Lublinianka”. Podpułkownik Wojska Polskiego.

Za najważniejszy w życiu uważa optymizm wsparty przemyślanym działaniem i konsekwencją w realizacji wyznaczonych celów. Hobby: działka, turystyka, czasem brydż.

ZGORZELSKI Czesław. Lat 81. Absolwent Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Lata wojny spędził w Wilnie i na Nowogródczyźnie. Żołnierz Armii Krajowej, odznaczony Krzyżem Walecznych. Doktoryzował się w 1947 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Poznaniu. W 1949 zwolniony z pracy. Zatrudniony krótko w „Ossolineum”, a później w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od 1956 roku profesor nadzwyczajny, a od 1968 — zwyczajny. Wybitny humanista. Autor kilkuset publikacji naukowych i kilkunastu książek. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a ostatnio Komandorią Orderu św. Grzegorza Wielkiego.

Sposób na życie: „Duża wrażliwość na głos powinności wobec środowiska i narodu, zachowanie lojalności w stosunkach z ludźmi”.

MEMENTO

Michał Zieliński

WDYSKUSJI o dalszych losach pomnika Bieruta w Lublinie dał się słyszeć głos następujący: „nie należy pomnika tego burzyć, jest on świadectwem naszej — złej czy dobrej — historii”. Bardzo mi się ten pogląd nie podoba. Pomijając już to, że nie wierzę w szczerą intencję tych, co tak mówią, zawarte w nim rozumowanie tylko pozornie jest logiczne.

Ażby wykazać opaczność takiego stawiania sprawy, wystarczy:

♦ primo — uświadomić sobie, iż ci, którzy tak twierdzą, zasadą tą nie posłużyli się w przeszłości, burząc najróżniejsze pomniki. Na przykład Piłsudskiego, który, choć faszysta i najeżdżający Kraj Rad jaśniepan, był bez wątpienia częścią naszej historii;

♦ secundo — zauważyć, że konsekwentne zastosowanie wymienionej zasady wymagałoby wystawienia świadectw historii: Bermanowi, Dworakowskiemu, Radkiewiczowi, Moczarowi...

I tutaj dostrzegam pewną możliwość rekoncylacji. Można pozostawić Bieruta w spokoju. Niech stoi. Bądźmy jednak konsekwentni i otoczmy go figurami:

- konfidenta biegnącego z donosem,
- agenta celnego wsłuchanego w spowiedź współwzięcia,
- nie śpijącego po nocach śledczego,
- sędziego podpisującego jedynie słuszny wyrok.

A także, aby nie być zbyt monotematycznym postawmy:

- statuę propagandyzisty,
- biust naukowca piszącego historię od podstaw,
- kolumnę cenzora,
- popiersie zetempowca wyrzucającego z pracy burzącyjną profesurę.

Nie zapomnijmy również o uczczeniu choć skromną tablicą działacza zasłużonego na polu „bitwy o handel”, przymusowej kolektywizacji i kampanii wysiedlania z miast elementu klasowo obcego.

Wykujmy świadectwa naszej przeszłości ze spizu. Niech trwają po wsze czasy. Niech przychodzą oglądać je wycieczki szkolnej działwy. I niech pamiętają. Albowiem narody, które tracą pamięć, tracą wszystko.

BYŁO tak. Po opublikowaniu mojego artykułu o Leontynie Zuczowskiej-Halpert, wraz z jej podobizną na pierwszej stronie 11 numeru „Relacji”, redakcja otrzymała parę telefonów. Czytelnicy uznali za stosowne sprostować błąd, który, ich zdaniem, polegał na tym, że wspomniana podobizna przedstawiała kogoś zupełnie innego niż informował podpis — a mianowicie Marię Wodzińską, postać obecną w biografii Fryderyka Chopina i Juliusza Słowackiego, malarkę, romantyczną mużę. Fakt rzekomej pomyłki stwierdził również znany muzykolog.

Trudno się więc dziwić redakcji, że znalazłszy się pod takim naporem, nie wytrzymała nerwowo i wkrótce zamieściła sprostowanie. Istotnie, opierając się na niektórych opracowaniach o życiu i twórczości Chopina, można by sądzić, że było słuszne. Między innymi w książce „Fryderyk Chopin” pobrała pani Zofia Jeżewska, wydanej przez „Interpress” (Warszawa 1985 r.), pod reprodukcją, która nieoczekiwanie stała się powodem nalegiwości zamieszczenia, widnieje podpis: „Maria Wodzińska, portret Stanisława Marszałkiewicza, 1840 rok”.

I otóż proszę państwa, tu właśnie tkwi błąd. Wścibskich i dociekliwych odsyłam do Muzeum Narodowego w Warszawie, które w zbiorach Gabinetu Miniatur Polskich i Obcych posiada oryginalną. Z muzealnego „Katalogu zbiorów miniatur polskich od XVII do XX w.” pozwałam sobie zacytować stosowny fragment z niewielkimi skrótami. Ponieważ nie chciałem zanudzać tym — zapewne mało atrakcyjnym dla wszystkich — wypisem ze specjalistycznej dokumentacji, poprosiłem redakcję, by koniec-

ną dla dowodu w sprawie informacji wydrukowano inną czcionką [nonparem — dop. red.]:

„103. Eleonora Leontyna Halpertowa, zwrócona 3/4 w lewo. Czarne włosy, brązowe oczy. Na szyi perły, na palcu pierścionek z perełkami. Ciemnofioletowa krynolina; przy dekolcie i mankiecie — koronka. Fotel jasnobrązowy, jego obicie złotooliwkowe. W tle oliwkowoszara ściana z kolumną i złotawę, z błonolebieskim prześwietleniem niebo. Fwaz, papier, owal, 226x183. Sygnatura 1, u dołu: Marszałkiewicz.”

„GWIAZDA Z PUŁAW”

Henryk Sobiechart

Oprawa brąz złocony i drewno. (Okolo 1841). Inwentarz MIN [jest to sygnatura zbioru miniatur w Muzeum Narodowym w W-wie — dopisek mój H.S.]. 571 (numer negatywu 01 963). Dar L. Méyeta 1915. Wystawy: Uniwersytet Królewski, Wystawa warszawska, W-wa 1841; Muz. Nar. w W-wie, Powstanie Listopadowe, 1931 [...]; Muz. Nar. Kraków, Portrety Marszałkiewicza, 1968—1969, październik — styczeń. Bibliografia: Kozakiewicz, Warszawskie wystawy sztuk pięknych w latach 1819—1845 (ródła do dziejów sztuki polskiej pod red. A. Ryszkiewicza 1), Wrocław 1962, s. 390, nr 77, s. 419, nr 1 tabl. L; Katalog wystawy Powstania Listopadowego, s. 27, nr 181; Batowski, Kat. miniatur, s. 13 nr 30; J. A. Miaczyński, Miniatury Marszałkiewicza z późnego okresu twórczości, BHS, XX, 1950, nr 3/4, s. 336 i przypis 6, il. 4; Kat. wyst. sztuki warszawskiej, II, s. 244 i 245, nr 649; Chamiec, Kat. Miniatur, s. 65—66, nr 82 [...].

Co do mnie, to muszę stwierdzić, że otwieranie starych grobowców jest zajęciem wcale pasjonującym. Przy okazji choćby taka ciekawostka: miniatura przedstawiająca Leontynę Halpertową, reprodukowana w „Relacjach”, jest jednym z najstarszych darów dla warszawskiego

Muzeum Narodowego. Została zapisana aktem darowizny w 1912 roku przez Leopolda Méyeta, a przekazana w roku 1915 wraz z dziesięcioma innymi, pośród których znalazły się wizerunki znanych polskich osobistości: księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, pianisty i kompozytorki Marii Szymanowskiej i matki Juliusza Słowackiego — Salomei Becu. Jest także uważana przez

historyków sztuki za jedną z najpiękniejszych w zbiorach muzeum. Szkoda tylko, że wiele wydawnictw o Fryderyku Chopinie, jak choćby to wspomniane przeze mnie na wstępie, sygnowane przez „Interpress”, poszło w świat sławić imię jednego Polaka, odbierając przy okazji imię innemu, czy raczej w tym przypadku — innej. Ale stało się. Przeszłość, nawet ta niezbyt ciekawa, niechętnie oddaje swe tajemnice, często zastawiając wymyślne pułapki.

Koniec końców, możecie jednak państwo z absolutną pewnością siebie w książkach poświęconych Chopinowi pod rzekomą podobizną Marii Wodzińskiej pędzić Stanisława Marszałkiewicza własnoręcznie napisać: Leontyna Zuczowska-Halpert, gwiazda Teatru Narodowego, wielka aktorka z Puław.

I jeszcze gorąco dziękuję pani profesor Barbarze Filarskiej za pomoc w dotarciu do informacji, jakie na ten temat posiadało Muzeum Narodowe w Warszawie.